



## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionej agencji, przysyłając należność do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelnia ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. zlr. 3 c. 52. w Krakowie zlr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Zabia Nr. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

**Treść Numeru.** Przyczynki do historii i literatury, oryginalne i tłumaczone przez Michała Gliszczyńskiego. — Przegląd piśmiennicy. — Korespondencja ze Lwowa. Widzenia. Fantazja Jana Turgeniewa. — Obrazy na Wystawie Towarzystwa Sztuk Pięknych. — Pamiętnik Wacławy przez Elżbę Orzeszkową. — Mąż i Żona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską. — Przytym dodatek z drzeworytami.

### PRZYZYNYKI

#### DO HISTORJI I LITERATURY

ORYGINALNE I TŁUMACZONE

PRZEZ

Michała Gliszczyńskiego.

(Dokończenie).

Kiedy się wojna skończyła, Karol IV chciał rozpuścić swoje wojsko, bo tylko na jedną kampanję zobowiązał się, ale mu Ludwik XIV oświadczył, że pokój nie zawarty zatem wojsko jego zatrzymuje, które rzeczywiście dopiero po zawarciu pokoju między Francją i Hiszpanją wróciło do ojczyzny. Król francuzki domagał się natarczywie, żeby rozpuścić natychmiast żołnierzy do domu, ale że znowu zadarł mocno z Falcem i zadał mu ciężką klęskę pod Bingen, tym tylko sposobem mógł się wykręcić od nacisku Ludwika XIV.

Ale król francuzki, urosłszy w dumę swoim powodzeniem, nie tylko nie zapomniał o Lotaryngji, lecz tém goręcej jej zapragnął. W myśli już ułożył sobie co ma zrobić: księcia schwytać, a księstwo zabrać i od razu całą sprawę ukończyć.

Pewnego poranku 23 Sierpnia 1670 r. odwiedził Karola IV w jego rezydencji w Nancy generał hrabia Fourille i intendent w Metz Choisy. Przybyli oni pod pozorem załatwienia małego nieporozumienia. Celnicy i straż graniczna omyliwszy się, posunęła za daleko na lotaryngski grunt graniczne słupy z herbami Francji. Urzędnicy książe powyrwali je, ztąd różne zajścia a nawet bójki. Ale rzeczywiście przybyli oni po to, żeby się przewidzieć jakimby sposobem można było najłatwiej napaść na księcia i schwytać go bez hałasu. Kiedy właśnie Karol IV, dla dogodzenia Ludwikowi XIV rozpuścił wojsko, i znajdował się na radzie ministrów, wpadł do sali gubernator Nancy z wiadomością, że jakiś oddział kawalerji spieszy do miasta, a wkrótce potem donieśli węglarze, że sąsiedni las pelen jest francuzkich żołnierzy. Łatwo się było domyśleć, czego chcieli. Karol IV pod pozorem udania się na polowanie, wyjechał konno z Nancy i kiedy zaledwie opuścił miasto, hr. Fourille stanął przed księżym pałacem. Nie jego wina była, że się książę wymknął. Chciał raniutko wpaść do Nancy i ująć księcia w łódku, ale gęsta mgła zbiła go z drogi. Musiał więc

czekać obiadowej godziny w Liverdun, mając nadzieję, że księcia złapie przy stole. Uciekając lasem znanymi sobie ścieżkami, udało się księciu wymknąć się do zamku pani de Pilliers, która zdziwiona ujrawszy księcia myślała że się zabłąkał na polowaniu. „Nie jestem na teraz myśliwy—odparł książę—ale zwierzyną ściganą przez strzelców.”

Cała Lotaryngja doświadczyła znowu gniewu Ludwika XIV. Tylko Epinal, przy pomocy kilku walecznych rycerzy i mieszczan broniło się jakiś czas marszałkowi Crequi. Żeby przerazić mieszkańców, kazał wielki król marszałkowi swemu ogłosić, że każdy kto będzie z bronią w ręku schwytny, zostanie na galery wysłany. Minister królewski Lyonne ośmielił się przedstawić królowi, że to jest hańba dla arcy-chrześcijańskiego władcy, tak postępować z ludźmi, którzy nie innego nie robili, tylko bronili rodzinnego miasta, jak na dobrych i wiernych obywateli przystało.... Tego by nawet Turek nie zrobił. Ale król nie cofnął rozkazu, tylko zalecił marszałkowi, żeby go łagodnie wykonywał. Haussonville, którego dzieło odznacza się wielką bezstronnością, przytacza jeszcze inny rozkaz, wydany przez Ludwika XIV marszałkowi Crequi, kiedy miał wtargnąć do Lotaryngji. Brzmiał on tak: „że on (król) dla własnego bezpieczeństwa widzi się zmuszonym, zabrać księciu cały jego kraj, żeby mógł się raz na zawsze uwolnić od napaści, jakie na niego ten ostatni ciągle ponawia. Dla tego, jakiegokolwiek by dawał Karol IV gwarancje, że będzie oddał spokojnie siedział, marszałek nie przyjmie ich, a będzie coraz większych wymagał i przypomni mu, że się dawniej już zobowiązał oddać Lotaryngję wnukowi Henryka IV. To jedno tylko może rozgniewanego monarchę francuzkiego przeblagać. W tym duchu ma Crequi przemawiać do wszystkich z którymi będzie miał sposobność porozumiewać się”.

Instrukcja ta budziła w Europie wielkie niezadowolenie, szczególnie dzienniki powtarzały głośno, że arcy-chrześcijański król postępuje sobie z książętami niemieckimi, jak sultan z hospodarami Multan i Wołoszczyzny. Nawet w Ratysbonie, gdzie nie bardzo wiele było odwagi, oburzono się na ten zabór samodzielnego dotąd kraju w posród zupełnej pokojowej ciszy. Wszystko jednak miało ten tylko skutek, że postanowiono zaprotestować przeciw temu zajęciu i wysłać umyślnego ambasadora do francuzkiego króla z żądaniem powrócenia Lotaryngji prawemu jej władcy. To odważne postanowienie zmieniono jednak w ten sposób, że sprawę Lotaryngji pozostawiono samemu cesarzowi, który oświadczył że ona go najbli-

żej i najmocniej obchodzi. Dostała się tym sposobem w najgorsze ręce, bo Leopold I więcej stał o przyjaźń Ludwika XIV niż o obronę praw i honoru Lotaryngji.

Wiadomo zjadł inąd, że cesarz niemiecki rozpoczął już był z królem francuzkim układy o podział Hiszpanji. Młody chłopiec, Karol II który wtedy nosił na głowie hiszpańską koronę, był bardzo słabowity i nie obiecywał długiego życia a tem mniej dawał nadziei, że zostawi Habsburgom męzkich następców na hiszpańskim tronie. Starsza jego siostra, żona Ludwika XIV ślubnym kontraktem wyrzekła się zupełnie swoich praw do Hiszpanji, a zatem tylko młodsza ich obojga siostra, a żona Leopolda I wystąpiła by ze swojemi prawami do Hiszpanji i do jej ogromnych posiadłości. Gdyby tedy cesarz niemiecki był w nieporozumieniu z królem francuzkim, to ten ostatni mógłby mu bardzo łatwo sprzątnąć z przed nosa bogate dziedzictwo. Wolął więc ułożyć się z nim zgodnym sposobem.

Nie ma się tedy czemu dziwić, że jak tylko Ludwik XIV dowiedział się o owych postanowieniach na korzyść księcia Lotaryngskiego, rozkazał swojemu posłowi w Wiedniu hrabiemu Gremonville, żeby oświadczył cesarzowi jego królewskie niezadowolenie. Leopold I pokornie odpowiedział, że kurfirstowie i sejm tak natarczywie na niego napadli, że nie mógł odmówić im tego *pozornego zadosyć uczynienia* i wysłał do Paryża umyślnego posła, hr. Windischgraetz'a, żeby niby wstawił się za Karolem IV. Ale w Parwzu hrabiemu Windischgraetz'a odprawiono krótko i bardzo niegrzecznie, temi słowy: „Godność francuzkiego króla nie pozwala mu przyjąć nieczyjzego pośrednictwa.“ To nie przeszkodziło wcale temu, że wkrótce po tém (1671) Leopold I zawarł tajemny układ z Ludwikiem XIV.

Inaczej poczynął sobie lotaryngski naród. Król francuzki z żoną i z całym swoim dworem przybył do Nancy, chcąc ująć mieszkańców życzliwością a olśnić blaskiem. Ale wszelka jego łaskawość i wszystkie pokusy pokazywane lotaryngskiej szlachcie na swoim dworze i w rządzie, na nic się nie przydały i ani jeden z nich nie dał się niemi uwieść. Król opuścił Nancy nie zjednawszy sobie ani jednego stronnika, zapewne bardzo zgryziony, bo był przyzwyczajony w Wersalu do najpodlejszych pochlebstw największych magnatów. Miał jeszcze jednak tyle uczciwości, że pozwolił pewnej liczbie szlachty złączyć się z Karolem IV i walczyć przeciw Francji. Lotaryngja została jeszcze przy Francji przez cwierć wieku. Karol IV bił się tymczasem z różnym szczęściem przeciw Ludwikowi XIV w pamiętnej wojnie

o następstwo na tron hiszpański, i dożył przed śmiercią (1675) tój radości, że się zemścił na marszałku Crequi, owym krwiożercy bez miłosierdzia swojego kraju. Korzystając z zamieszania jakie między Francuzami powstało, w skutku śmierci Turenusza, zadał marszałkowi Crequi pod Conz haniebną klęskę. Wojska jego poszły w rozsypkę, a marszałek schronił się do twierdzy Trier, gdzie się bronił jak bohater, ale własni jego oficerowie zmusili go do poddania się i gdy oni wysli swobodnie z honorami wojskowemi, marszałek dostał się do niewoli.

Karol V synowiec Karola IV był uznany przez wszystkie mocarstwa europejskie prawym dziedzicem i władcą Lotaryngji, ale przez całe swoje życie ani jednego dnia nie siedział na swoim książęcym tronie. Zobowiązał się wprawdzie Ludwik XIV pokojem w Wymedze (1679) oddać Karolowi V Lotaryngję, ale pod tak twardemi warunkami, że książę wolał się wyrzec swoich posiadłości. Odtąd związany z cesarzem Leopoldem I, który mu nawet siostrę swoją w małżeństwo oddał, w nagrodę za wielkie usługi oddane państwu Rzymskiemu, mianował go nawet namiestnikiem Tyrolu i Austrii. Czyny jego tyle głośne, należą gdzieindziej. Umarł nagle w Wels 1690 r.

Był on dobrze znanym w Polsce, bo po abdykacji Jana Kazimierza, Cesarz Leopold I przysłał do polski Chavagnac'a, żeby się starał o koronę polską dla księcia lotaryngskiego. Chavagnac nic nie zrobił, bo szlachta oburzona kabałami magnatów, chcąc im dać uczuć, że i ona wiele znaczy i wiele może w kraju, wybrała na króla Michała Wiszniowieckiego. Michał Korybut ożenił się z Eleonorą siostrą cesarza, która jak wiadomo kochała ks. Lotaryngskiego. Po śmierci swego męża Eleonora wznosiła kandydaturę dawnego swego kochanka do tronu polskiego, w tój nadziei, że się z nią ożeni. Ale nadzieja ta zawiodła ją, bo na obronę od Turków obrano Jana Sobieskiego. Eleonora wyjechała na Śląsk i tam zaślubiła nareszcie Karola po tak długim rozłączeniu.

Po jego śmierci pierworodny syn jego Leopold, prawy dziedzic Lotaryngji odzyskał swoje księstwo na mocy ryświckiego traktatu (1697). Ludwik XIV oddał mu ją z tym warunkiem, że twierdza Saarlouis zostanie przy Francji. Nie dosyć na tem; król francuzki przewidując że będzie musiał oddać Lotaryngję, rozkazał swoim urzędnikom niszczyć ją ile się da. W pomoc im rozkwaterowano po całym księstwie 25 batalionów piechoty i 40 szwadronów kawalerji, które robiły co im się podobało. Odebrał więc Leopold pustynię. Haussonville, opierając się na aktach znalezionych w ministerium wojny pisze, że z 1,000,000 mieszkańców zostało się tylko 50,000.

Wielka była radość Lotaryngczyków kiedy się z rąk Francuzów wydostali. Przyjęli też z otwartymi rękami swojego młodego księcia mającego zaledwie dwadzieścia lat. Rzadko który monarcha okazał się tak godnym miłości swoich poddanych jak Leopold. Historycy i lud nazywają jego 31 letnie panowanie złotym wiekiem Lotaryngji. Kiedy umarł w 1729 ludność księstwa powiększyła się sześć razy a księstwo było doskonale uprawne, zabudowane i bogate; miało 800,000 metrów szosy czego żaden inny kraj nie posiadał a nadewszystko miało księstwo prawa tak liberalną, że jój zazdrościły inne ludy a papież Klemens XI z powodu wielkiego ograniczenia stanowiska i przywilejów duchowieństwa, zamieścił ją na indeksie i każdemu ktoby ją miał, czytał, lub innym do czytania dawał zagrożił klątwą. Mimo ogromne wydatki, których nie żałował na różne budowle, na nauki i sztuki, dług Lotaryngji wynosił zaledwie dwa razy tyle ile było rocznego dochodu.

Niemiecy historycy oddając mu sprawiedliwość za dobre rządy i dobry byt kraju, nie mogą mu darować tego, że się dał przeciągnąć Ludwikowi XIV na stronę Francji, że się ożenił z synowicą francuzkiego króla Elżbietą Karoliną córką księcia Orleańskiego, i że przysłał na zamianę Lotaryngji na księstwo Medjolańskie (1700). Zamiana ta jednak nie przysłała w tym czasie do skutku, bo cesarz nie chciał ustąpić Medjolanu, a szczęście wojenne opuściło Francuzów. Książę Leopold i kraj jego nie na tem nie ucierpiał, bo go uważano za neutralnego władcę a jako siostrzeńca i synowca cesarza i francuzkiego króla, oszczędzano go i ani przechodu wojsk, ani żadnych rekwizycji na niego nie nakładano.

Po śmierci Ludwika XIV rządził Francją znany dobrze regent Filip ks. Orleański, szwagier Leopolda, i tój do okoliczności zawdzięczała Lotaryngja swoją

spokojność i dobrobyt. Leopold był to człowiek bardzo roztropny, gospodarny i w najcięższych okolicznościach nie opuszczał swojego kraju. Nie sądzimy go, czy dobrze zrobił przechyliwszy się na stronę Francji, ale musimy zwrócić uwagę czytelników na to, że Lotaryngja była dla Francji bardzo ważnym terytorjalnym i militarnym nabytkiem, że się ciągle za nią ubiegała, że wielkie ofiary na to ponosiła, aż wreszcie potrafiła na swoim postawić. Trzeba było żeby Niemcy, a szczególnie cesarz, lepiej bronili wtedy tego ładnego kraju, który na początku przeszłego wieku dobrowolnie, na mocy prawnych traktatów został przyłączony do Francji.

Nikt zapewne nie zaprzeczy, że Lotaryngja była dawniej prowincją niemiecką, ale częste stosunki i sąsiedztwo z Francją, najwięcej zaś ostateczne przyłączenie jój do Francji 1735 skupiło tak mocno oba te kraje, że nie wiele już w niej niemieckiego pozostało, i piękny ten kraj nie bardzo zapewne płacze po swoich germańskich ojcach. Przynajmniej nigdzie nie zdarzyło mi się czytać, żeby Lotaryngczykowie skarżyli się na Francję a tęsknili za Niemcami. Krzyki gazeciarzy niemieckich i pamflety historyczne niektórych pisarzy, są to tylko piśmienne bomby w dodatku do armatnich. Gdybyśmy wskrzesili na raz wszystkie dawne niesprawiedliwości, krętarstwa, i przemoc jakie się już w tój naszej Europie przejawiały, toby żadne państwo w obecnym swoim składzie pozostać nie mogło. Owoż prawdą jest że Francja namęczyła dawniej mocno Lotaryngję, prawdą jest że Lotaryngja była niemiecką prowincją, że nie z ochotą przyłączyła się do Francji, ale i to jest prawdą, że jój teraz bardzo dobrze i że nie pragnie należeć do Niemiec.

Wróćmy do faktów.

Po śmierci Leopolda księcia Lotaryngskiego, nastąpił syn jego drugi z kolei, Franciszek III, bo brat jego starszy Leopold Klemens umarł w Wiedniu na ospę. Od dawna Karol VI cesarz niemiecki, był niezmiernie życzliwym lotaryngskiemu domowi; wybrał też na męża najstarszej swojej córce i następczyni Marji Teresie, Franciszka III, który prawie ciągle mieszkał w Wiedniu a nawet mianowany był cesarskim namiestnikiem w Węgrzech. W Lotaryngji rządziła zająca jego matka.

Kardynał Fleury, pierwszy i wszytkomóżny minister Ludwika XV zaniepokoił się tem małżeństwem, któreby Lotaryngję stanowczo do cesarstwa niemieckiego przyciągnęło i potęgę Habsburgów bardzo podniosło ze szkodą Burbonów. Mimo to że Francja potrzebowała bardzo pokoju, że skarb był prawie pusty, zawarłszy wprzód przymierze z Hiszpanią, nakłonił młodego króla do wydania wojny cesarzowi.

Pozorem do tój wojny było to, że Karol VI, połączony z cesarzową rosyjską Anną, popierali na tron polski Augusta III, kiedy Ludwik XV pragnął utrzymać na nim teścia swojego Stanisława Leszczyńskiego. Wiemy zkad inąd, że kardynał Fleury i Ludwik XV mało dbali o los Stanisława Leszczyńskiego, nie dali mu ani pieniędzy ani posiłków. Nie chodziło im o to, kto będzie panował w Polsce, ale o to żeby Habsburgów ponizyć i przeskodzić małżeństwu księcia Lotaryngskiego z Marją Teresą.

I to wiadomo że wojna ta o następstwo na tron polski, skończyła się pokojem w Wiedniu 1735 r. w którym czytamy między innymi następujące warunki. August III pozostał na tronie polskim. Stanisław Leszczyński zatrzymuje tytuł króla i dostaje na dożywocie księstwo Lotaryngskie. Mąż Marji Teresy Franciszek III (później cesarz Franciszek I), w zamian za Lotaryngję dostał W. K. Toskańskie, gdzie familia Mediceuszów wygasła na Gastonie. Po śmierci Stanisława Leszczyńskiego, Lotaryngja wcieloną zostanie do Francji.

W r. 1736 Stanisław Leszczyński, wyrzekłszy się zupełnie wszelkich pretensji do korony polskiej, osiadł w Luneville. Przez trzydzieści lat panował po ojcowski, zjednał sobie serca poddanych i do dziś dnia jeszcze imię jego ze czcią i wdzięcznością wspominać bywa w Lotaryngji. Nazywano go zwykle *le roi philosophe et bienfaiteur*. Wiele po nim pozostało tam pamiątek. Umarł w Luneville 1766 straszną śmiercią, bo się na nim szlafrok przy kominku zapalił i śmiertelnie go poparzył. Razem z żoną, a obok nich i serce córki Marji, francuzkiej królowej, spoczywa w presbiterium kościoła Notre Dame de Bon Secours w Nancy.

Oto co pisze Siegenheim o tój ostatniej epoce Lotaryngji to jest o pokoju w Wiedniu i o Stanisławie Leszczyńskim. Pisze jak Niemiec, i wyjątek z dzieła jego przytaczamy dla samej oryginalności, przedstawiając rzecz całą tak jak pragnie aby w nią wierzone. Franciszek III powiada, długo nie chciał podpisać podobno warunków wiedeńskiego pokoju, aż go zmusił do tego kanclerz cesarski Bartenstein owemi wyrazami: „Nie będzie podpisu nie będzie arcyksiężnej.“ Matka jego, młodszy brat Karol i lotaryngskie stany oburzyły się na Franciszka III, głośno powtarzając, że chyba jakimi czarami nakłoniono go do tak haniebnego ustępstwa. Wyjazd książęny regentki i jój rodziny z Luneville był dniem powszechnój żałoby—6 Marca 1737. Siegenheim powiada, że pamięć Franciszka III jest dotąd w takim obrydzeniu w Lotaryngji, że za przyjęciem Prusaków portrety jego wszędzie poniszczono zostały.

Leszczyńskiego rządu, mówi dalej bez żadnych historycznych dowodów, były tylko cieniem rządów, bo mu dwór francuzki narzucił kanclerza swego de la Galaiziere, który wszytkimi siłami co przedj wprowadzał do Lotaryngji francuzkie prawa i urządzenia. Ztąd tłała ciągle między mieszkańcami a Francuzami nieustająca nienawiść, tak dalece, że długo żaden francuzki żołnierz nie mógł się nigdzie pokazać, bo go zaraz znieważono, pobito a często zabito. Nieraz sam Stanisław Leszczyński o mało nie padł ofiarą tój nienawiści Lotaryngczyków do Francuzów??

O kanclerzu de la Galaiziere pisze i Haussonville ale wyraźnie powiada że król polski, działając razem z nim, nigdy nie pozwolił na żadne nadużycie i gwałty i dla tego to był tak bardzo kochany. Historyk niemiecki, nie mogąc nic złego powiedzieć o Leszczyńskim, wolał nie wspomnieć o nim aby tylko nie pochwalić.

Kończy on swoją pracę tem zastrzeżeniem, że żeby przyłączenie Lotaryngji do Francji miało moc prawa, brakuje mu koniecznie do tego potrzebnej ratyfikacji wiedeńskiego traktatu przez lotaryngskie stany i przez sejm niemiecki w Ratisbonie, która nigdy nie miała miejsca; a zatem Lotaryngja nie należy prawnie do Francji i trzeba ją jój odebrać! Radziłbym jednak zapytać się o to samej Lotaryngji, która w obecnej wojnie niezbite dała dowody czego pragnie.

## Przegląd piśmienniczy.

Bitwa - poemat Sęka — Pieśni Miłosne Horacego przekład Klina — Dziewczyna powieść M. Dzikowskiego — Kobiety i mężczyźni Józefa z Mazowsza.

Najniewdzięczniejszą, najmniej podobno mającą w sobie tego co się nazywa poezją, jest bez zaprzeczenia poezja okolicznościowa, wywołana jakimś wypadkiem chwili. Największy talent poetyczny rozbije się zwykle o ten szkopał, jeśli pragnie ubrać w świetlistą szatę poezji. Nowy przykład takiej kary wymierzonej przez blasków pełną dłoń poezji, mamy na utworze pana Teodora Sęka p. t. Bitwa. Pan Sęk znany już jest ze swego poematu, którego nie ukończył p. t. Zwierzęta a którego nikt i zapewne sam autor dziś nie rozumie. Nowa praca młodego tego i nie bez talentu pisarza, osnuta jest na krwawym epizodzie z ostatniej wojny francuzko-pruskiej w bitwie pod Gravelotte, gdzie oddział wojsk pruskich został naprowadzony na kamieniołomy i zapadł się jedną masą czarną w otchłań usuwającej mu się z pod nóg ziemi. O wypadku tym pisał w swoim czasie dzienniki, pokazał się atoli, że był on zwyciężoną kaczka gazeciarską. Wrażliwy przecież umysł młodego poety, uderzony efektem tego zdarzenia opisał go w osobnej książeczce, ubrawszy w rymowaną formę, osnuł na nim całą powieść ponurą, smutną, dziką... Powieść ta atoli ma tak ciemne i niewyraźne kontury, że z trudnością przychodzi doszukać się w niej wątku. Forma gładka, niekiedy natchniona, ale treść w nią ujęta tak jest ciemna i niejasna, że wszystkie zalety tego poematiku gasną w obec tój kardynalnej wady.

Wreszcie sama istota tej pracy, jej okolicznościowość budzi pewną niechęć, niesmak.. obrusza poczucie piękna... Mnóstwo epizodów, ustępów niemających najmniejszego związku z takim opowiadaniem płacze się po poemacie ni przypiął, ni przyłatał. Ustępy te same w sobie ciemne, zaciemniają jeszcze bardziej niejasną już treść utworu. Pen Sęk przecież nie jest bez talentu i bez natchnienia — forma, jakieśmy powiedzieli gładka, zręczna, język potoczny, płynny, niekiedy piękny i silny rokuja przyszłość poecie... hyleby w umyśle zaświeciła jakaś gwiazda jasna coby potrafiła rozświecić ciemnie jego w chwili zamętu poetycznego poczucia, czego z całego serca życzymy poecie...

Druga książeczka jaką chcemy rozebrać należy także do dziedziny poezji. Pan Klin autor Szkieców przetłumaczył sześć pieśni z Horacego, którym dał tytuł *Pieśni miłosne*. Horacy u nas chętnie się od dawnych czasów zajmowano: Siemieński wreszcie mistrzowskiemi przekładami dał wzór jak należy przebierać w nowożytną szatę rzymskiego rytmika. Przekład p. Klina ujęty w rymowaną i rytmiczną formę jest podobno wierny ale niepiękny, opatrzony licznymi i mozolnymi komentarzami daje dowód sumiennosci i pracy tłumacza, ale o piękno, jak mówimy się nie pytaj. Na dowód przytoczę parę stroftek z pierwszej pieśni *Do Chloi*:

„Unikasz mnie, Chloe, jelonek by żwawy,  
w bezdrożach lekliwej co szuka macierzy,  
nie bez próżnej obawy,  
wiatr gdy po lesie przebieży.

Gdy ciernia zaszumi listkami krzewina,  
gałązki jeryzyny wąż traci powiewne,  
drzeń już sercem zaczyna,  
kroki już stawia niepewne.“ i. t. d.

Dziwaczna taka przekładnia nie tylko że jest nie piękną ale co więcej niezrozumiałą. Lepiej podobno byłby autor zrobił, gdyby rymy porzucił, których mu z ciężkością przychodzi dobierać a zachował tylko rytmiczność wiersza, o co znów nie trudno w naszym języku. W każdym jednak razie należy się uznanie młodemu pisarzowi za usilną pracę naukową, pracę niewdzięczną dzisiaj. Przedmowa znajdującą się na czelu tej książeczki napisana ślicznym zygmunowskie czasy przypominającym językiem, bodaj czy nie jest najlepszą z całej tej pracy.

Z dziedziny poezji, która jak na teraz dość niefortunnie nam się objawiła przechodzimy do prozy. Zannotować tu musimy dwie powieści, jakie się ukazały w handlu księgarskim w ostatnich czasach. Jedną z nich jest: *Dziewczyna Mieczysława Dzikowskiego* drugą *Kobiety i mężczyźni Józefa z Mazowsza*. Pierwsza raczej szkic niż powieść, niewypełniona i luźna, nie odznaczająca się ani talentem, ani świeżością tak formy jak myśli. Nie będziemy tutaj treści przytaczać bohy nam to dużo czasu i miejsca zajęło. Jest w niej dużo prawdy, dużo wierności w fotografowaniu społeczności naszej, niektóre sceny są dobrze pomyślane i dobrze przeprowadzone, ale całość, jakieśmy powiedzieli wygląda na szkic pośpiesznie rzucony. Czuć w niej gorączkę tworzenia, pośpiech, ku końcowi zniechęcenie... W skutek tego kreacje będące na pierwszym planie wyszły nie jasno i nie wybitnie. Forma nie odznacza się ani świeżością ani blaskiem. Lepiej podobno byłby autor zrobił, gdyby próbkę tę był pozostawił w tece, w każdym jednak razie powieść ta nie zasłużyła na taką Jowiszową, z trójnoga wypowiedzianą anatę, jaką się podobało na nią rzucić parcyalnemu krytykowi z Kurjera Warszawskiego... Jest tu bowiem pewna myśl smętna, która nicją jasną wije się przez kanwę powieści i już ta sama myśl zbawia ją od zapomnienia....

Druga powieść potężnie gruba jest: *Kobiety i mężczyźni Józefa z Mazowsza*. To już nie szkic ale całość wypełniona jeśli nie przepełniona filozoficznymi uwagami i sentencjami, które sypią się w niej jak z rogu obfitości, tak dalece, że wszystkie postacie w obec tych sentencji usuwać się muszą na drugi plan, toną w nich jak w morzu. Powieść robi się przez to kapitalnie nudną, co przy języku wprawdzie pięknym ale przypominającym nam Adolfa i Julję lub Malwinę, sprawia, że trzeba prawdziwego poświęcenia, żeby ją całkowicie przeczytać. Przytaczając treść jest niepodobieństwem, taki w niej brak istotnej treści. *Kobiety i mężczyźni* to raczej traktat filozoficzny o życiu ludzkim a nie powieść. Smutek wieje jakiś po-

nury z tego poglądu na życie, ale kreacje wszystkie postaci bez krwi i kości, są uosobieniami raczej jakiejś myśli autora. Powieść naturalnie na tem zyskać w żadnym razie nie mogła i ztąd całość wygląda bardzo a bardzo słabo.... Autor Judyty nie ma talentu do powieści.... a szkoda, bo myśl tu jest i myśl nawet głęboka i piękna, byleby ją ubrać w kształty drgające życiem i ruchem, prawdziwe i rzetelne.... Tak zaś jak jest nie tylko myśl nie zyskała ale i powieść nie straciła.... Mniej refleksji a więcej akcji i umiejętności patrzenia na ludzi i życie, a powieść ta byłaby rzeczą piękną i nową....

Walery Przyborowski.

## Korespondencja ze Lwowa.

30 Marca

Rada miejska bez burmistrza. — Pkycie Pełtwy. — Numerowanie domów i nowe nazwy ulic. — Zamach na śmiecie lwowskie. — Brak pomieszczeń i nowe budynki. — Bank budowniczy. — Taborowski i Diem, Mentor, Consilium facultatis i Balowe rękawiczki. — Przedstawienie Hamleta i Fieska. — Mrówka. — Nowa księgarnia. — Coś. — Rewelacje Gazety Polskiej z komentarzami.

Kto zostanie burmistrem miasta Lwowa, dr. Smolka, dr. Szemelowski czy dr. Jasiński? Tem pytaniem zajmował się Lwów przez cały Marzec bezskutecznie. Wszyscy trzej kandydaci otrzymali przy pierwszym głosowaniu rady miejskiej równą bo nie wystarczającą do ważności wyboru ilość głosów. Dopiero przy ściślejszem głosowaniu wyszedł dr. Smolka z urny wyborej ale tak nieznaczną większością, że natychmiast przysłał rezygnację, bo wybór jego na tak ważne stanowisko był wprawdzie prawnym w obec sejsiego brzmienia statutu ale nielegalnym wobec opinii publicznej, opinia publiczna bowiem głośno wyraziła swe słuszne zdanie, że burmistrz mieć powinien po swęj stronie jeżeli nie całą radę miejską, to przynajmniej większość imponującą, ale nie iluzoryczną. Ta interpretacja statutu stała się powodem całomiesięcznego prowizorjum w naszym *hotel de ville*. Na nieszczęście nie można nawet przewidzieć, kiedy skończy się to fatalne prowizorjum. Chociaż bowiem w tych dniach nastąpi powtórny wybór, wątpić należy, by doprowadził do jakiegoś stanowczego rezultatu. Zwolnienicy wszystkich powyższych wymienionych kandydatów związała się żelazną solidarnością, ugrupowali się w trzy obozy tak nieprzyjazne, że o ustępstwie jakimś lub kompromisie w chwili gdy te słowa piszę, nikt nawet nie myśli. Zapewne więc i przy powtórny wyborze rozstrzela się głosy, przyjdzie do drugiego a potem do ściślejszego głosowania, przy którym znowu jeden z kandydatów otrzyma tak nieznaczną ilość głosów, że rezygnacja stanie się nieuniknioną. Jeżeli w stanowej chwili nie pojawi się w rzędzie kandydatów taka szczęśliwa osobistość, na którą zgodzićby się mogły wszystkie stronnictwa, to chyba Opatrzność cudem jakimś wprowadzi radę z błędnego koła.

Mimo tego fatalnego prowizorjum rada miejska rozpoczęła swoje czynności, z których najpożądniejszą dla miasta jest pokrycie Pełtwy. Po kilkuletnim wahanu się przystąpiono wreszcie do dzieła. W tym roku zamurowaną zostanie czwarta część Pełtwy obok wałów hetmańskich a w dwóch lub trzech latach następnych cały kanał, który wyziewami swemi formalnie zatrąwał najpiękniejszą promenadę lwowską, najokazalszą i najładniejszą część miasta całego. Pokrycie Pełtwy będzie dla ludności lwowskiej pod względem sanitarnym wielkim dobrodziejstwem a miasto zyska na tem wiele. Wały staną się najulubieńszą promenadą a obie ulice Karola Ludwika (niższa i wyższa) dotąd przegrodzone od siebie Pełtwą zleją się w jedną, bardzo szeroką, długą i prawdziwie okazałą ulicę. Przez pokrycie Pełtwy Lwów zyska także na oryginalności. Będzie to bowiem może jedyne większe miasto w Europie niepołożone nad żadną rzeką. Dotychczas bowiem we wszystkich geografiach pisano: Lwów położony nad Pełtwą etc. Za kilka lat ustąpi i ta illuzja.

Nowa rada miejska objęła w spuściznie po swęj poprzedniczce jeszcze jedną ważną sprawę, która od kilku lat jest już na porządku dziennym kwestij miejscowych a dopiero teraz przeszedłszy przez

wszystkie stacje magistrualnej biurokracji i krzyżowy ogień dyskursji i namysłów różnych komisji, ma być stanowczo zrealizowaną w ciągu następnego kwartału. Sprawa ta jest wprowadzenie w życie nowych nazw ulic, sporządzenie odpowiednich tablic i nowe numerowanie domów. Wielką przysługę odda rada miastu naszemu, jeżeli spieszenie wykona swe uchwały i usunie dzisiejszy chaos, którym oprócz Lwowa żadne miasto w Europie nie mogłoby się poszczycić. Na wszystkich bowiem ulicach Lwowa napisy z oficjalnymi nazwami są tak niezrozumiałe, że wystarczyć mogą chyba dla tych, którzy mieszkając od dłuższego czasu we Lwowie zupełnie bez nich obejść się mogą. Kto nie znał Lwowa a chciał dostać się na jakąś wskazaną ulicę, musiał zdać się na łaskę i niełaskę instynktu i dobrą wolę przechodniów, którzy bardzo często nagabywani bywają prośbami o informację. Liczby kamienie były tożsamo niewyraźne i niedokładne a system w ich układzie był bardzo wadliwy. To też liczby domów nie odpowiadały zupełnie celowi swemu, bo według nich niepodobna się było zorientować. Kto dajmy na to szukał we Lwowie domu pod liczbą 600 a za szczególnem zrządzeniem Opatrzności znalazł się nagle przed kamieniem z liczbą 599 i mniemał że jest bardzo bliskim celu swęj pielgrzymki, bardzo często niemiłego doznał zawodu, bo na kamienicy sąsiedniej zamiast liczby 600 znalazł np. liczbę 343 a potem znowu dla odmiany 344, 345, 123 i t.d. Ta mieszanina liczb szczydząca z kardynalnych zasad prostego ładu i porządku do rozpacz przyprawała tych, którzy przyjechawszy z Paryża do nieskończonego mniejszego Lwowa, w żaden sposób za wskazanym adresem trafić nie mogli. Dzięki Bogu w tym roku skończy się już przecież to azjatyckie bałamuctwo i Lwów stanie się podobnym do innych miast Europy a mianowicie do Wiednia, który pod tym względem służył na wzór naszej radzie miejskiej. Liczby domów następować będą po sobie w prawidłowym porządku, parzyste po prawęj a nieparzyste po lewęj stronie ulicy, nowa, w ubiegłym roku przyjęta, nomanklatura ulic zostanie w życie wprowadzoną i nowymi tablicami uwidocznią. Każda część miasta będzie miała tablice z obwódkami różnego koloru, a kształt ich będzie owalnym na ulicach opasujących rynek, a kwadratowy na ulicach i placach skierowanych ku rynkowi.

O ile reforma ta pożądana jest dla amatorów ładu o tyle znowu kłopotliwą stanie się dla tych mieszkańców przedmieść, których głęboko wkorzeniony konserwatyzm nie zechce się tak prędko pogodzić z nową nomenklaturą ulic i placów lwowskich. Kilka lat upłynie, zanim reforma tak radykalna przyjmie się w całej ludności lwowskiej. Do niedawna jeszcze często bardzo spotkać się można było z nazwą: plac Ferdynanda, chociaż plac ten już od kilkunastu lat przezwany został placem Marjackim. Między inteligencją nowe nazwy placów i ulic spopularyzują się bardzo prędko gdyż w nowęj nomenklaturze rada miejska przyjęła dużo imion historycznych. Najwięcej cieszyć się powinni z dzisiejszej reformy nasi literaci, którym rada miejska oddała hołd nazwawszy ulicę Ossolińskich ulicą literacką. Jestto mała, niepokazna i zaledwie do połowy zabudowana uliczka. Można by zatem dawniejszemu radzie miejskiej podsunąć zamiar złośliwy, gdyż w zmianie tej miejscy się wprawdzie bolesna ale prawdziwa alegorja stanu literatury lwowskiej.

Nowa rada miejska zrobiła także śmiały zamach na nasze błota, kurz wapienny i śmiecie, które dotychczas zupełnie bezkarnie maltretowały Lwowian o różnych porach roku. Sprawy bowiem odnoszące się do czystości i porządku miasta poruczono panu Janowi Dobrzańskiemu. Mamy zupełne prawo spodziewać się, że pan Dobrzański który słusznie utyskiwał na wielki nieporządek w mieście, wyteży swoją energję, ażeby oczekiwania Lwowa nie doznały zawodu. Wprawdzie wczesna wiosna tegoroczna ułatwiła bardzo zadanie panu Dobrzańskiemu, gdyż ciepłe promienie słońca wysuszyły zupełnie błota, ale za to zbliża się sezon słynnego naszego kurzu, którego szkodliwość pod względem sanitarnym niedawno wykazał dr. Zygmunt Dobieszewski w jednym z tutejszych dzienników w sposób prawdziwie zatrważający. Skrapianiem ulic powinna się zatem gorliwie zająć nasza rada miejska.

(d. c. n.)

# WIDZENIA

FANTAZJA

JANA TURGENIEWA.

(Dalszy ciąg).

## XII.

Mgła się rozwiła i teraz widziałem bezgraniczną płaszczyznę rozciągającą się pod nami: powiew jakiegoś lżejszego i cieplejszego powietrza dawał mi poznać że już nie jesteśmy w Rossji. Zresztą i cała miejscowość zupełnie tu odmienna, była to okiem niezmierną równina, pusta, pępna, jałowa, a na całej powierzchni, podobnej do potłuczonego zwierciadła, błyszczały tu i owdzie bagniska stojącej wody. Dalej, dalej, rysowało się niewyraźnie spokojne, nieruchome morze. Miejscami, wielkie gwiazdy iskrzyły się na niebios sklepieniu, a ze wszech stron rozchodził się jakiś szmer niewyraźny ale nieustanny jakby śpiew nucony przez tysiączne głosy zarazem krzykliwe i usypiające, — były to odgłosy puszczy.

— To bagna Pontyjskie, rzekła Alicja. Czy słyszysz skrzeczeniu żab?.. Czujesz odór siarki?..

— Bagna Pontyjskie!... Krzyknąłem z wyrazem niewysłowionej odrazy. Po cóż przeniosłaś mnie w te ponure, przeklęte strefy?.. Nie lepiej było polecieć do Rzymu?..

— Będziemy tam zaraz. Rzym już bardzo blisko.

I zaczęliśmy lecieć po nad starożytną drogą łatyńską. Bawół zanurzony w brzydkiej gęstej kaluży, podniósł w górę swój łeb bezkształtny szorstką i krótką pokryty sierścią odrzucając się w tył potrząsł mocno swymi wygiętymi rogami, i wytrzeszczając swe złośliwe i głupowate oczy, zaczął sapać gwałtownie. Widać musiał nas zżeszyc.

— Rzym! Rzym! zawołała Alicja, spójrz przed siebie.

Cóż to za czarne masy rysują się przed nami?.. byliby to łuki olbrzymiego jakiego mostu?.. Na jakiejże wznosi się rzece?.. Dla czego miejscami pozawalał się zupełnie?.. Ach! to nie most, to starożytny wodociąg... Tam oto widać kampanię rzymską a po za nią okoliczne góry; wysokie ich szczyty i szarawe budowle wodociągu oświeca bladawo wschodzący księżyc... Nieco dalej napotkaliśmy odosobnione jakieś zwaliska; nikt nie potrafi objaśnić co to było niegdyś, pałac, grobowiec czy fermy... Ciemny bluszcz obejmował je smutnym swym uściskiem, a na dole, wśród gruzów, ukazywało się na wół zapadłe sklepienie podziemia. Dolęciała do mnie jakaś woń grobowa, wydzielająca się z tych wszystkich tak szalenie dopasowanych kamieni, które dawno już straciły swą marmurową powłokę.

— Tutaj!.. tu!.. zawołała Alicja wyciągając rękę, wymów tylko trzy razy z kolei nazwisko wielkiego jakiegoś Rzymiana.

— I cóż z tego wyniknie?

— Zobaczysz.

— Pomyślałem chwilę. *Divus Caius Julius Caesar!* zawołałem głośno. *Divus Caius Julius Caesar!* powtórzyłem przeciągle. *Caesar!*

## XIII.

Jeszcze ostatnie dźwięki głosu mego nie przebrzmiały, gdy nagle usłyszałem... nie! nigdy nie potrafię opisać doznanego wrażenia! Spróbuję dać choć słabe jego wyobrażenie.

Najpierw był to jakiś, zaledwie pochwycały uchem pomieszany szmer jakby nieustannie odzywającej się gdzieś trąbki i uderzeń w tło, i zdało mi się, że gdzieś w niepojętej oddali lub też w niezgłębionej otchłani, poruszały się nieprzeliczone tłumy; tłumy te powiększały się nieustannie i szyb-

kim posuwały krokiem, wydając ciągle jakieś przytłumione okrzyki, na podobieństwo tych jakie wydaje człowiek śpiący, męczony bardzo przykrym snem z którego daremnie ocknął się pragnie. Nareszcie, powietrze po nad zwaliskami zasępiło się i jakby zakłóciło, i w tejże chwili zaczęły ukazywać się i przesuwać tysiące, mirjady cieni, miliony kształtów z których jedne zamieniały się w kaski inne w piki. Na tych pikach i kaskach promienie księżyca łamały się i dzieliły na tysiące niebieskawych odbłyśków, i cały ten tłum, cała ta armja zwiększała się uwydatniała i zbliżała coraz więcej... I czuleś że bucie te ożywia niewysławioną dzielność i siła zdolna całym wstrząsnąć światem. Żadna jednak postać nie była zupełnie wybitna... W tem nagle, jakby za dotknięciem czarnoksiężkielki laski, nieprzeliczone te hufce zaczęły poruszać się i odsuwać, zostawiając wolne wśród szeregów swoich przejście, i tysiące pomieszanych głosów zaczęły wołać: *Caesar! Caesar veni!* i w przestrzeni rozległ się odgłos podobny szmerowi liści wśród lasu wstrząsanego burzą. Głuche uderzenie słyszeć się dało, i powoli ujrzałem wydobywającą się z pośród zwalisk bladą, surowo-poważną postać *imperatora*, z głową owieńczoną laurowym wieńcem.

W żadnym języku ludzkim nie znajdzie słów zdolnych wyrazić straszne ogarniające mnie przerażenie: pomyślałem sobie że jedno poruszenie ust, jedno skinienie tego władcy, może stać mi się wyrobkiem śmierci...

Alicjo! zawołałem, nie chcę! nie mogę pozostać tu dłużej... oddamy się z Rzymu... uciekajmy z tej strasznej okolicy... Uciekajmy!

— Nie grzeszysz zbytmiem odwagi, szepnęła Alicja, i poszybowałaś dalej. Odlatując słyszałam jeszcze szczęk broni i głośnie okrzyki rzymskich hufców... za chwilę wszystko w około mnie zaciemniło się i znikło.

## XIV.

— Uspokój się patrz, rzekła mi Alicja.

Przypominam sobie doskonale, że piewsze doznane wówczas wrażenie było tak słodkie i błogie, że odetchnąłem całą piersią. Coś, czego nazwać nie umiem, jakby mglisty lazur, srebrzyste tony, nie mgła i nie światło, otaczało mnie do koła. Z początku nie nie widziałem i tylko miękko zafonąłem w rozkosznym niby omdleniu, i dopiero wolna zaczęła dostrzegać wyniosłe zarysy pięknych gór pokrytych lasami. Tuż podemną wody wielkiego jeziora, rozciągały swe przezroczyte fale a drzące gwiazdy odbijały się w ich zwierciadle. Słyszałem miły szmer fali rozbijającej się o wybrzeża; napawałem się zachwycającą wonią pomarańczowego kwiatu, a jednocześnie dolatywały mnie czarujące tony prześlicznego kobiecego śpiewu...

Zachwycony, upojony wonią i śpiewem, zapragnąłem spuścić się na ziemię. Tuż przed nami stał prześliczny domek marmurowy, kryjący się wśród klombów cyprysu: przez otwarte okna dochodził nas coraz wyraźniej zachwycający śpiew niewidzialnej śpiewaczki. Piękne jezioro posypane opadłym pomarańczowym kwiatem, głaszało mury pałacyku swemi przezystemi falami, a tuż naprzeciw wyłaniała się z głębi wód wyspa zarośnięta drzewami pomarańczowemi i laurowemi, pokrytemi ciemno-zielonemi liśćmi i otoczonemi jakąś mgłą świetlaną w pośród której przegładały portyki i kolmnady, świątynie, pomniki i wieżycy.

— Izola-Bella, Iago-magiore! rzekła mi Alicja.

— Ach!.. odpowiedziałem tylko i zatrzymaliśmy się. Teraz doskonale słyszeć było można cudny śpiew którego dźwięk coraz silniej oddziaływał na mnie, nieprzepartym ku sobie pociągając urokiem. Cóż to za czyste i pełne tony!.. Zapragnąłem koniecznie zobaczyć twarz czarodziejki śpiewającej tak cudnie podczas tak cudownej nocy: zbliżyliśmy się do okna.

(d. c. n.)

# OBRAZY

NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA SZTUK PIĘKNYCH.

(Dokończenie.)

Pan J. Suchodolski obrazem swym p. t. Spacer na Bielany przypomina bardzo inny swój podobny, przedstawiający odwiedzinę sąsiedzkie. Jak w jednym tak i drugim konie główną odgrywają rolę, reszta jest dodatkiem. Powóz w pigę koni zaprzężony wjeżdża przez wrótne z prostych żerdzi, woźnica po krakowsku ubrany powstrzymując pędzące rumaki pali z bicia z ferworem prawdziwie stangreckim. Obok niego na koźle siedzi jakiś wypudrowany jegomość, spoglądający z ukosa na młodzieńca w dawnym polskim stroju, który sadząc na wierzchołku nałstawia dłoń aby przyjąć kilka czereśni podawanych mu uprzejmie rączką wyciągniętą z powozu. Dawczyni jednak nie widać, zastaniają ją siedzący na koźle, domyślać się tylko należy po ukosnym spojrzeniu owego wypudrowanego jegomości, że musi być młodą i ładną a przynajmniej dla niego nie obojętną. Konie licowe w pełnym klusie dzielnie i bardzo naturalnie przedstawione, zdają się z obrazu wyskakiwać tyle w nich prawdy i życia. Zdaleka widać jednokonną dryndulę napełnioną siedzącymi, w której koń wyciągnięty jasno świadczy o ciężkim trudzie swojej pracy: dalej Wisłę i we mgłę i kurzu Warszawa.

Obraz pana Schouppego przedstawiający Nowy-targ nad Dunajcem u podnóża Karpat jest pracą wcale ładną i starannie wykonaną. Miasto rozciąga się na płaszczyźnie nadrzecznej po za którą podnosi się już wzgórze stanowiące przednie czaty głównego tatrzańskiego korpusu. W oddawaniu planów oddalonych p. Schouppe szczególnie celuje. Perspektywa u niego wybornie zachowana, zarysy przedmiotów dalszych zawsze z prawdą przedstawione, a osłaniająca je mgła lekkością i delikatnością bardzo naturę przypomina. Blizsze za to plany nie mają już tej swobody i znać że artyście nie przychodzi z łatwością jak dalsze. Nowy-targ posiada wszystkie te cechy talentu p. Schouppego, patrząc w głąb jego zachwyca i pociągają zwróciwszy zaś uwagę na bliższe szczegóły mimow li wybiega pytanie, dla czego artysta mniej o nich pamiętał.

Dziewczynka idąca na spoczynek p. Milewskiego Prymusa, pochlebne daje świadectwo o talencie tego artysty. Myśl bardzo prosta, dziewczynka w koszuli tylko i spódniczce trzymana przez siebie świecę zapaloną osłania ręką. Plomienia więc nie widać tylko światło obrzucające jej twarz całą. Z przeciwnej strony przez okno promień księżyca oblewa całą jej postać, ze światłem świecy stanowiąc przeciwieństwo co odwzorować zdaje się było głównem zadaniem artysty. W każdym razie nie zostało to uwydatnionem jakby życzyć należało, światło księżyca za blade, za mało błyszczące, dziewczynka jednak bardzo powabna i ujmująca.

Owece na pastwisku p. Mejsnera nadesłane z Monachjum są obrazkiem, starannie opracowanym i dowodzącym niepospolitego wyrobienia artystycznego. Na wzgórkach stoi pastuszek plecami zwrócony do widzów i przypatruje się nie wiadomo tylko, czy krajobrazowi, czy też wschodzącemu lub zachodzącemu słońcu. Ta niepewność udeterminowania pory czasu jedyną stanowi chyba w ładnej tej pracy, że światła zaś trudno odgadnąć czy to ranek czy chwila dzień kończąca. Owiec coś sztuk dziewięć już najeżone leżą spokojnie na ziemi przy jednej spooczywa jagnie, drugie doi matkę a jeden z baranów skubie jeszcze trawę.

Akwarela p. Kossaka przedstawiająca polowanie na lisa, w ugrupowaniu koni i myśliwych siedzących na saniach, w otoczeniu zimowem ma wiele prawdy i malowniczości. Lis uciekający bardzo naturalnie przedstawiony, ale goniące za nim charty nie są to psy myśliwskie co na okrzyk: hażgo — ha! porzuca najsmaczniejsze jadlo i rzuciwszy się w pościg padną trupem a zwierza nie puszcza. Nie widać w nich ani ognia ani wysiłku, a chociaż odsunięte od widza drugie dopiero zajmują miejsce, znającego jednak polowanie z chartami rażą niezadarnem ułożeniem całej swjej postaci.

## PAMIETNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENIEM MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Ale na wieczorze u p. Natalji ujrzałam p. Lubomira w całej jego wielkości i świetności. To siadywał w ocienionym rogu salonu pomiędzy etażerką i koszem z wazonami, z czołem podpartem dłonią, od stóp do głowy owinięty w tajemniczy i interesujący płaszcz melancholji; to występował ze swego ukrycia i z postawą pełną wyższości, z gestem szlachetnym rzucał pomiędzy towarzystwo race podniosłych frazesów i zdroje słów kwiecistych; to jeszcze stawał naprzeciw mnie i orzucał mię spojrzzeniami ognistemi i rozmarzonymi naprzemian.

Gdy opuszczałam z matką, towarzystwo wyszedł wraz z nami, sprowadził mię ze wschodów a podając rękę gdym wsiadała do karety, uściśnął lekko końce moich palców i szepnął:

— Ach! czemuż, czemuż żegnać panią muszę? przy pani zapominam o przebytych cierpieniach, w chorą duszę moją spływa ożywczy zdroj pociechy i szczęścia!

Kareta z turkotem potoczyła się po bruku a w moich uszach brzmiał szept Lubomira, rękę palił mi uścisk jego dłoni. Groźne, okropne słowa! Bini dalekie — dalekie były ode mnie, ani myślałam już o nich. W połowie drogi matka moja ozwała się.

— Śliczny to człowiek ten Lubomir! jakie wykształcenie, co za wymowa! Zarzucają mu wprawdzie zbyt demokratyczne wyobrażenia, ale ja nie widzę wcale aby stanowiły one wadę. W ogóle Lubomir ma u mnie wielkie łaski a przytem... piękne ma imię i znaczny majątek.

Mimowolnym ruchem pochwyciłam rękę mojej matki i ucałowałam je z zapalem. Tak! myślałam, matka to moja mówi prawdę! Bina ma przywidzenia, okropne, śmieszne, potworne przywidzenia!

Matka moja pocałowała mię kilka razy w czoło a światło latarni ukazało mi, że patrzyła na mnie z pół żartobliwym, pół radośnym wyrazem.

### II.

Następny dzień powoli włókł się dla mnie od samego rana. Zaledwie obudziłam się, gdy już przyszło mi na pamięć, że o piątej po obiedzie miałam pojechać do Zosi, aby szczęście jej z nią podzielić, a przytem ostatecznie ujrzeć tryumf Lubomira nad przesądami świata, które tak dzielnie i kwiecistemi gromił zwykle słowami.

Jaki on szlachetny! jaki rozumny! a jaki przytem dobry brat z niego! z góry już śpiewałam w myśli ody pochwalne na cześć p. Lubomira. Nadeszła w końcu godzina piąta. Prosiłam matki aby rozkazała założyć konie do karety, a powiedziawszy jej do-

kad jadę, na co uśmiechnęła się ona żartobliwie ubrałam się prędko i żywo zbiegłam ze wschodów.

Jadąc zaś myślałam sobie, jak to znajdę Zosię z promieniejącą szczęściem twarzą, jak z wesołym okrzykiem rzuci się mi na szyję, jak mi opowie cuda o szlachetnym znalezieniu się swego brata z młodym prawnikiem. A może i narzeczony będzie przy niej, poznam go bliżej, szczęśliwa Zosia!

Gdy wydawałam w myśli ostatni ten wykrzyknik, kareta stanęła i lokaj otworzył przedemną portjere.

Było we zwyczaju między nami młodemi pannami i przyjaciółkami, że oddawałyśmy sobie często wizyty we własnych pokojach, nie widując przytem nikogo z opiekunów i domowych. Robiło się to wprawdzie ostrożnie, z uprzedniem na przyjęcie i oddanie takiej koleżeńskiej wizyty pozwoleniem matki czy opiekunki, ale było to tak dalece przyjęte, że nie zwracało niczyjej uwagi. Tak wizytująca towarzyszkę swą panna, wchodziła najczęściej mniejszem wejściem do mieszkania, omijając wchód paradny albo też przebiegając salony witała spotkane tam osoby i szła na przyjacielską pogadankę do osobnego pokoju téj, którą odwiedzała.

Ja dnia tego wybrałam pierwszy środek i weszłam mniejszemi wschodami, prowadzącami prosto do pokojów Zosi i jej garderobny, przewidywałam bowiem że w salonach mogę znaleźć hałas lub skwaszone miny, oburzonych dzisiejszym wypadkiem wujostwa. Wbiegłszy po wschodach wpadłam więcej niż weszłam do pokoju znajomej mi dobrze służącej. Jak się masz Teofilko, zawołałam w progu, panienska w domu?

— W domu! odpowiedziała dziewczyna i jak mi się wydało głosem smutnym. Nie bardzo jednak uważałam na to. Zdejmując futro i kapelusz spojrzałam na przymknięte drzwi Zosi, i spostrzegłam że w pokoju jej nie było jeszcze światła, chociaż zmrok krótkiego dnia zimowego na dobre zapadać zaczął. Przytem panowała tam zupełna cisza.

— Może panienska w salonie? spytałam raz jeszcze służącej.

— Owszem, siedzi w swoim pokoju, tym samym smutnym głosem odpowiedziała Teofilka.

Sama jedna, wśród zmroku i ciszy! tak przystoi rozkochanej pannie i od kilku godzin narzeczonej, pomyślałam. Marzy sobie kochana Zosia i dlatego nie wybiegła na moje spotkanie choć głos mój słyszy już pewnie!

Z tą myślą otworzyłam drzwi i próg pokoju Zosi przestąpiłam.

Z początku z powodu zmroku zwiększonego jeszcze wiszącami u okien firankami nie rozróżnić nie mogłam, a tak głęboka panowała cisza, iż pomyślałam że służąca musiała się omylić i że Zosia była w salonie. Chciałam już zawrócić się i powiedzieć Teofilce, aby oznajmiła jej moje przybycie, gdy nagle szelest jedwabiu uderzył moje ucho i z najmniejszego rogu pokoju wydobyło się parę stłumionych ale przejmujących łkań.

Zdumiona i strwożona nie wiedziałam sama co mam o tem myśleć, ale wpatrzywszy się w kąt pokoju w którym ozwały się łkania, dojrzałam słabo rysującą się na tle mrocznem postać skuloną, jakby bezwładnie leżącą na kozetce.

— Czy to ty Zosiu? spytałam przejęta przykrem, nieledwie bolesnem wrażeniem.

— Czy to ty Wacławo? ozwał się z kątką słaby, zmieniony, pełen łez i łkań głos Zosi, a zarazem

z wolna, z ciężkością uniosła się ona na kozetce, ale zaraz opadła znów na nią jakby sił pozbawiona i głośno już płakać zaczęła.

Poskoczyłam, przypadłam do niej i przykleknawszy objęłam ją ramionami. Zosia drżała całym ciałem, pierś jej rozdzierała się okropnym płaczem, a lzy gorącym potokiem spływały na moją twarz, suknię i ręce, któremi starałam się podtrzymywać jej zwieszającą, osłabłą głowę...

— Co tobie na miłość Boską? Co tobie Zosiu, co się stało? Czy jakie nieszczęście? spytałam czując że i mnie na płacz się zbiera.

Po kilku minutach zaledwie Zosia zdołała wymówić wśród płaczu.

— O jakżem ja nieszczęśliwa! Lubomir odmówił....

Oslupiałam ze zdziwienia, bo z dwóch ostatnich wyrazów zrozumiałam, że Lubomir odmówił ręki siostry człowiekowi, którego kochała.

Okropna wątpliwość przebiegła mi przez głowę. Dla czego uczynił tak? pytałam siebie czy dla tego że inaczej myśli i czuje niż mówi? I jakże zresztą miał serce zadawać siostrze taką boleść? Zosia jakby odgadła myśli moje podniosła się nieco na kozetce, z wysileniem powstrzymała płacz i zaczęła opowiadać zmienionym głosem.

— Władysław po rozmowie z Lubomirem, wyszedł z jego pokoju błąd, z drżącymi ustami i z takim wyrazem na twarzy, jakiego nawet określić nie potrafię. Był w nim i gniew obrażonego człowieka i dumna szlachetna, żal i boleść niezmierna. Znalazłszy mię samą jedną i czekającą na niego w salonie zbliżył się, pochwycił moje ręce i patrząc na mnie tak, że w oczach jego odgadłam nieszczęście rzekł do mnie — biedny Aniele! niechcą cię oddać a byłabyś ze mną szczęśliwa.. tak cię kocham! Wszakże dodał po chwili milczenia, niechcę narażać cię na walkę z familją, ze światem — oddalę się... jeśli byś kiedy w życiu potrzebowała przyjaciela, obrońcy, oddanego ci całkiem człowieka, pomyśl o mnie...

Rzekłszy to przycisnął do ust moją rękę i wybiegł z salonu, bardziej jeszcze błąd niż kiedy wchodził i z większym jeszcze wyrazem cierpienia, a zarazem dumy na twarzy.

Sama nie wiedziałam co się ze mną działo opowiadała dalej Zosia, nogi podemną drżały, w głowie czułam zawrót a serce jakby zamarło i ostygło we mnie z boleści i trwogi. Nie zdołałam jeszcze wyjść z tego stanu gdy wszedł Lubomir, a zobaczywszy mnie stojącą na wpół martwą i opierającą się o poręcz krzesła aby nie upaść, zatrzymał się w progu i patrzył na mnie. Nie wiem czy nie myliłam się bo nie byłam zupełnie przytomną, ale zdaje mi się że widziałam na twarzy Lubomira pewne zmieszanie, wahanie się, a nawet smutek. Co do mnie patrzyłam na niego i czułam sama, że we wzroku moim było tysiąc zapytań i wyrzutów. Po chwili Lubomir podszedł do mnie, uściśnął mię i zaczął mi mówić, że odmówił Władysławowi mojej ręki dla pewnych jemu tylko wiadomych przyczyn, że Władysław nie wart mię, że powinnam o nim zapomnieć a wyjść za człowieka bardziej stosownego dla mnie i charakterem i pozycją towarzyską.... Słuchałam go osłupiała ze zdziwienia, ale przy ostatnich jego wyrazach nie mogłam się powstrzymać, odepchnęłam go prawie od siebie i głośno płacząc uciekłam do swego pokoju....

Tu Zosia przerwała swoje opowiadanie, bo Teo-

filka wniosła lampę, widocznie w obec służącej nie chciała mówić dalej. Dotąd nie widziałam wzroku jej twarzy i gdy spojrziałam na nią przy świetle lampy zostałam przerażoną niemal. Zdawało się że przez ten jeden dzień Zosia o kilka lat postarzała. Rysy jej ładnej i świeżej twarzyczki zmięte były i zmienione, oczy nabrękle od płaczu straciły blask i zamiast zwykłej sobie niewinnej otwartości i ciekawej myśli, nabrały wyrazu jakiegoś omdlenia i zmęczenia.

— Jak ona go kocha! pomyślałam czując zarazem we własnym sercu bolesne ścisnienie. Zdawało mi się że w tej chwili nienawidziłam prawie Lubomira.

Gdy służąca odeszła, Zosia prosiła mnie abym spuściła zasłonę na lampę której blask ją raził. Spełniłam jej żądanie i usiadłam znowu przy niej.

Widać, że zwierzenie się jakie uczyniła przedemną i poczucie że był obok niej ktoś, co rozumiał i podzielał jej cierpienie ulżyło jej sercu, bo spokojniej już zaczęła mówić.

— Przez cały dzień biłam się ze strasznymi myślami, które nieustannie przychodziły mi do głowy... Wujenka parę razy przychodziła do mnie, ale nie mogłam do niej ani słowa przemówić wiesz jak jest zimną i imponującą... bałam się jej od najmniejszego dzieciństwa i teraz czuję przed nią pewną trwogę pochodzącą zapewne z przyzwyczajenia. O! czemuż nie mam matki?....

Biedna Zosia! ileż łzawego smutku było w jej, zmiętej i bladej twarzy, gdy wymawiała ostatnie wyrazy!

Wzięłam ją za rękę i zapytałam.

— Jakież to są te myśli straszliwe z którymi biłaś się przez dzień cały?

Gdy zadawałam Zosi to pytanie głos mi drżał i serce się ścisnęło, bo naprzód już odgadywałam, że myśli o które ją pytałam były takimiż wątpliwościami, jakie i mnie napelniały. Zosia popatrzyła na mnie długo, w oczach jej zjawił się wyraz trwogi i niezwykłą siłą ściskając mi rękę nagle spytała:

— Powiedz mi, na którym z nich omyliłam się?

Który z nich niewart miłości mojej i szacunku?

Brat mój czy on?

Mówiąc to patrzyła na mnie tak, jakby z gorączkową niecierpliwością oczekiwała odpowiedzi. Ale ja nieodpowiadałam, głowa opadła mi na piersi, przed oczami memi ideał mój chwiał się na swym piedestale a zasłaniała go coraz bardziej groźna maza wątplenia. Zosia stłumiła łkanie które znowu wrywało się z jej piersi, i mówiła dalej ale tym razem więcej do siebie niż do mnie.

— Czy jego twarz szlachetna i oczy pogodne kłamią, czy brat mój kłamał, gdy tak szlachetnie i rozumnie wymawiał zwykle słowa? Czy on na sumieniu i opinji ma jakąś brzydką plamę dla której nie powinien zostać jego żoną, czy brat mój fałszywym jest i słabym człowiekiem, który inaczej mówi a inaczej postępuje i myśli?

Te słowa Zosi przeszły mi jak żądła. Niestety! dziwna jakaś pewność rodziła się we mnie, że nie Władysław był Zosi niegodnym, ale że brat jej schlebiał przesądom świata nie chcąc aby siostra została żoną człowieka, który nie posiadał starożytnego imienia i pracą na chleb zarabiał.

Czemu nie odpowiadasz mi Wacławo? szepnęła nagle Zosia mocno ściskając obie moje ręce.

Zerwałam się z siedzenia i rękę przycisnęłam do czoła.

— Co ci odpowiem? zawołałam z boleścią. Ja sama błędę po labiryncie pytań okropnych, ja sama pytam gdzie jest i czy jest na świecie prawda?

Czemu i czy czemukolwiek wierzyć można?... O, ja tak wierzyłam w wyższość twojego brata....

W tej chwili weszła służąca i oznajmiła że Lubomir chce widzieć się z siostrą. Ponieważ nie chciałam widzieć go w tej chwili i byłam zaniepokojona i rozżalona do najwyższego stopnia, uściśnęłam więc Zosię w milczeniu i wyszłam. Kiedy w przyległym pokoju wkładałam futro i kapelusz, słyszałam jak drzwiami prowadzącymi z salonu wszedł do pokoju siostry Lubomir. Drzwi były na wpół otwarte, mimowoli spojrziałam i zobaczyłam jak zbliżył się do Zosi, objął ją ramieniem i patrząc na nią wyrzekł:

— Jakżeś ty zmieniona! płakałaś znać wiele! Biedna! głos jego był miękki a wyraz twarzy smutny.

Widziałam także że Zosia usunęła się zrazu od brata, ale pociągnięta do niego może łagodnymi jego słowami, a może tą potrzebą przytulenia się do kogoś w cierpieniu, jaką czują młode i słabe istoty, objęła jego szyję obu rękami i znowu cicho płakać zaczęła. Lubomir nie usunął ją, owszem przycisnął do swęj piersi i mówił coś do niej po cichu i łagodnie.

Jaki on dobry! myślałam sobie schodząc ze schodów, jak on boleje nad siostrą! Nie! on nie winien, to tamten zapewne jest tak zły nieuczciwy, że Lubomir czuł się w obowiązku ratować od niego młodą i niedoświadczoną swą siostrę, choćby kosztem wielkiego jej cierpienia...

O, jakże trudnem do rozczarowania, jak przystępnem złudzeniom, jak upartem w raz powziętej wierze jest serce młode, czujące w samym sobie niezmiernie do dobrego porywy i pragnące z całych sił widzieć na ziemi samą cnotę i wielkość.

W czasie powrotu od mieszkania Zosi do domu, niepojętym dla doświadczeńszych niż byłam wtedy ludzi procesem myśli, zdołałam utrwalić w sobie to przekonanie, że Lubomir odmówił młodemu prawnikowi ręki swojej siostry nie przez schlebienie przesądom światowemu, nie dla tego aby miał te przesady podzielać i im szczęście siostry poświęcać, ale że inaczej postąpić nie mógł i nie był powinien, że krok ten podyktowany mu został przez najszlachetniejsze i najmędrze w świecie pobudki.

Wszakże rozumowania te nie uspokoiły mnie, rozdrażniona i smutna przyjechałam do domu i uprosiłam matki, aby nie brała mnie z sobą na wieczór na który miałyśmy z nią udać się obie. Matka po pewnym oporze i dopytywaniu się o przyczyny smutku i zmiany jaką dostrzegła w mojej twarzy, zgodziła się z mem żądaniem i pojechała na wieczór sama, ja zaś na wszystkie jej pytania odpowiadałam tylko, że mam silny ból głowy. W istocie bolała mnie głowa ale daleko mocniej czułam ból serca za biedną a tak kochającą Zosię.

Kiedy o wczesnej bardzo godzinie przywołałam mamą garderobianę, aby pomogła mi rozebrać się, przykrego na jej widok doświadczyłam uczucia. Przyszło mi na pamięć wczorajsze ostrzeżenie Bini, i okropnym węzłem połączyło się w mój wyobraźni i dzisiejszym Lubomira postępkim.

— Nie! to być nie może! zawołałam głośno zapominając się całkiem i gniewną ręką odrzucając od siebie tylko co zdjętą bransoletę.

— Przekonasz się że tak jest! ozwał się za mną głos łagodny i smutny. Obejrzałam się i zobaczyłam Binię, która odprawivszy garderobianę stanęła za mną i twarz moją w lustrze widziała. Pocziwa piastunka odgadła znać moje myśli i znaczenie wyrazów, jakie wymówiłam niecierpliwym gestem odrzucając od siebie niewinną bransoletę. A ja tak byłam zatopiona we własnych myślach, że nie spostrzegłam ani jej wejścia ani oddalenia się Zosi. W milczeniu pomogła mi Binią zdjąć ubranie, a gdy się już położyłam do snu uczyniła nademną według

swego od wielu lat powziętego zwyczaju znak krzyża, i całując mię na dobranoc w czoło wyrzekła:

— Nie męcz się i nie martw nazbyt, moje dziecko! każde młode i pocziwe serce musi przejść w życiu tę drogę złudzeń i rozczarowań, jaką ty przebywasz teraz! Pogoń za dobrem omyła często tak jak i pogoń za szczęściem.

Nie dowodzi to jednak aby jedno i drugie istnieć nie miało na świecie, trzeba tylko zawsze mieć odwagę patrzeć w twarz prawdzie choćby bardzo smutnej, bo zaślepienie prowadzi za sobą wielkie nieszczęścia.

LII.

Po śnie niespokojnym który mi same smutne choć niewyraźne przedstawiał obrazy, wstałam późno z ciężką głową i tak byłam zajęta myślami o biednej Zosi i wczorajszym postępku Lubomira, że zaledwie monosylabami mogłam odpowiedzieć matce troskliwie i z niepokojem dopytującej się co mi było, dla czego wyglądałam blade i w szczególniejsze wpadałam zamyślenie.

W parę godzin po południu siedziałyśmy obie w bawialnym salonie. Matka czytała jakiś nowy romans który ją wielce zajmował, ja z roztargnieniem i prawie machinalnie haftowałam mankietki: oznajmiono Lubomira. Matka pośpiesznie i z zadowoleniem wyrzekła: prosid! Ja czułam zwiększający się niepokój.

Lubomir z głębokim uszanowaniem powitał moją matkę, mnie uściśnął za rękę silniej niż zwykle, przyczem oczy jego zapaliły się temi iskierkami, które najczęściej ukazywały się wtedy gdy patrzył na mnie. Rozmowa szła z pół godziny zwykłym trybem z tą tylko różnicą, że ja bardzo mało mieszałam się do niej. Smutna byłam i roztargniona, myślałam wciąż o rozplakaniej biednej Zosi, nie mogłam oderwać oczu od twarzy Lubomira, tak pragnęłam wyczytać na niej powody jego wczorajszego postętku. Lubomir wydawał się także więcej zamyślony, i więcej jeszcze niż zwykle melancholizny, matka która i tak od pewnego czasu zostawiała nas niekiedy sam na sam, jakby w chęci abyśmy się prędeję i lepiej porozumieli, powstała i przeszedłszy do sąsiedniego gabinetu usiadła z książką na sofce, tak że zostawiając wszelką swobodę rozmawiania, nie straciła nas jednak z oczu. Lubomir był u nas częstym gościem. Matka moja jako tak znacznie starsza czuła się uwolnioną od zbytnich ceremonji z młodymi ludźmi, to też oddalenie się jej do sąsiedniego pokoju było bardzo naturalnem. Musiało ono także być bardzo na rękę Lubomirowi, bo z pewnym pośpiechem przybliżył on swe krzesło do kanapki na której siedziałam z moim haftem.

— Wiem o tem, zaczął półgłosem, że pani byłaś wczoraj u mojej biednej siostry i posiadasz wszystkie jej tajemnice. Mówiła mi o tem sama. Pozwól pani abym serdecznie jej podziękował za tę przyjaźń, za ten kwiat tak rzadki i drogi jaki pani ofiarujesz Zosi.... Serce pani to skarbnica dyjamentowych.....

— Nie potrzebujesz mi pan dziękować za przyjaźń moją dla Zosi, przerwałam. Jesteśmy tak podobne do siebie wiekiem, uczuciami, pragnieniami iż nie naturalniejszego nad to, żeśmy się zrozumiwały i pokochały. Wierzaj mi pan że wczorajsze zmartwienie Zosi mocno mię dotknęło...

Wymawiając ostatnie słowa byłam przejęta istotnym żalem i podniosłam na Lubomira oczy, w których mimowoli zakręciła się łza.

— Pani jesteś aniołem dobroci, wyrzekł pan Lubomir stłumionym głosem i wstrząsnąwszy głową

powiódł ręką po czole. Twarz jego przybrała ponury, tragiczny wyraz, który dziwnie sprzeczał się z kobicą miękkością rysów i zimną mglistością spojrzenia.

— Pani nie wiesz, mówił dalej tym samym tonem, z jaką boleścią, z jaką rozpaczą zadawałem cios sercu mojej siostry... ale musiałem... musiałem... tak uczynić rozkazywał mi honor, obowiązek, rozkazywało mi sumienie...

— Mój Boże! zawołałam, więc pan tak źle uważasz pana Władysława, tyle złego wiesz o nim!...

Na te słowa szczególniejszy wyraz przebiegł po twarzy Lubomira, wydało mi się że mignęło po niej coś niby ironja, niby wstyd jakiś tajemny, niby zakłopotanie. Była to tylko błyskawica po której przejęściu na rysach jego osiadła znowu gruba warstwa melancholji i rozczulenia. Ale mnie się zdało że w tem mgnieniu oka otworzyło się okienko duszy Lubomira, a ja ujrzałam przez nie... o nie chciałam widzieć! spuściłam oczy na haft i tylko białe atłaskiem wyszywane na batuscie listki, ukazały mi się jakoś szare i brzydkie... Lubomir mówił znowu wstrząsając włosami i ręką wiodąc po czole:

— Tak pani! inaczej uczynić nie mogłem. Postępek ten był mi nakazany przez honor, przez obowiązek, przez sumienie i troskliwość o przyszłość siostry! Przecie jestem jej bratem! Wszakże ja to powinieniem czuwać nad nią, nad młodą jej głową, rozciągnąć ramię męskiej opieki, być dla niej puklerzem chroniącym od niebezpieczeństw jakie spotykają tak często młodość i niedoświadczenie! o pani! ja pojmuję moje obowiązki braterskie. Duch mój nie daremnie uniósł się nad poziom i buja w sferach niedostępnych dla wielu ludzi...

W ten sposób mówił jeszcze dość długo. Ja zaś słuchałam, polykałam jego słowa a gdy nareszcie podniosłam wzrok, Lubomir stał przedemną z wysoko podniesioną głową, w szlachetnej postawie. Oczy jego spotkały się z moimi i znowu zapaliły się w nich skry srebrnawe.

— Tak pani, ciągnął pan Lubomir, gdyby było inaczej, gdyby honor, obowiązek, sumienie nie nakazywały mi odmówić panu N. ręki méj siostry, czyżbym śmiał świętokradzką ręką zgnieść w jej sercu ten kwiat miłości, który sam najwyższą cenę ze wszystkich kwiatów, rosnących na tym naszym padole płaczu....

Czyżbym poważyl się targnąć na ten węzeł prawdziwie magiczny, święty, niebiański który wiąże serce dwoje! O, Pani ja zbyt wielką cześć wyznaję dla prawdziwej miłości, abym miał odebrać ją siostrze méj, gdyby nie nakazywały mi tak postąpić honor, obowiązek, sumienie...

Tak, myślałam, on nie winien! tamten to był Zosi niegodnym, a on jak wzniosłe pojmuje miłość, z jakim o niej mówi zapalem!

Listki wyhaftowane na batuscie były już całkiem białe, oderwałam jednak od nich oczy i znowu spojrzałam na p. Lubomira. Wydał mi się w tej chwili bardzo pięknym. Na czole jego wyczytałam usprawiedliwienie go zupełne; niezwykle rumieniec wzruszenia palił się mu na policzkach, oczy wpatrzony we mnie migotały iskrami.

— Jakaś pani dziś piękna! wymówił szeptem prawie nachylając się ku mnie. Jak pani czarownice z tą dzisiejszą bladocią, z tym smutkiem tajemnym, który czytam w twem oku! O! pani! i ja cierpiałem!

Tu westchnął głęboko. Spojrzałam nań ze współczuciem.

— Pan cierpiał? spytałam cicho.

— Tak pani! odpowiedział pełnym melancholji głosem, wiodąc ręką po czole; fale życia unosiły mię po szerokim oceanie świata i byłam jako kódką bez

kierowniczego wiosła, jako okręt pozbawiony maszty i busoli! Podobny do wędrowca zbłąkanego na piaszczystych wydmach pustyni spragniony wszystkiego co piękne i dobre, spragniony miłości prawdziwej, wielkiej, namiętnej szukałem niespokojnym wzrokiem oazy, na której by spocząć mogły oczy moje i serce...

Umilkł na moment niby pod wpływem wzruszenia, nad którym zapanować nie mógł, a ja spuściłam oczy na haft, bo instynktowe niemiłe ogarnęło mię wrażenie. Wyraz „oaza” użyty przez p. Lubomira rażąco uderzył moje uszy. Razem z nim przyplętnęło do mnie bolesne wspomnienie. Wszakże i pan Agenor oświadczając się tego samego użył wyrazu!

— Ale przyszła chwila, ciągnął po chwili p. Lubomir, że oczom moim ukazał się kwiat czarownej piękności, serce moje ujrzało i odgadło upragnioną oazę...

Słowo w słowo tak samo mówił p. Agenor!

— Tym kwiatem i tą oazą jesteś Pani, omdlewającym prawie głosem wymówił p. Lubomir i dodał bliżej jeszcze nachylając się nademną. Ja panią kocham!

O czarodziejska mocy wyrazu tego! jaki wpływ niezbadany i nieokreślony posiadasz na serca młode i gorące!

Sama nie wiedziałam jakim sposobem ręka moja znalazła się w dłoni p. Lubomira. Trzymał ją w silnym uścisku i mówił szeptem prawie.

— Pani! pokochałem cię gorąco, namiętnie, na wieki... życie bez ciebie byłoby mi piekłem okropnym... czy podzielasz pani moje uczucia? Czy prawdą jest to co czytałem tyle razy w twych niebiańskich oczach? O, powiedz mi czy pozwalasz abym do szanownej twój matki zaniósł prośbę o oddanie mi ręki twojej? Niech połączy nas wiekuisty węzeł miłości, niech droga życia wspólną nam będzie a zaciele ci ją samymi kwiatami. Powiedz mi pani, wymów jedno słowo, niech wyrok mój posłyszę z ust twoich. Czy pozwalasz mi mówić o tem z twą matką?...

— Tak, odpowiedziałam z cicha przejęta uczuciem szczęścia, bo słowa pana Lubomira brzmiały w mem uchu tak gorące, tak na wskróś przesiąknięte miłością dla mnie, tak prawdy pełne...

— O, dziękuję ci pani, dziękuję! zawołał z uniesieniem niosąc do ust mą rękę. Zaraz, zaraz to uczynię... I podniósł się na wpół z krzesła.

— Albo nie, wymówił, jutro lepiej. Dziś, w tej chwili radość maci mi myśli w głowie... niezdolnym byłbym wypowiedzieć przed matką pani treści mego serca, wyśpiewać przed nią tej pieśni, która mi gra w duszy... Oddałę się, potrzebuję w samotności uspokoić zbuntowane bicie mego serca... potrzebuję w samotnem stódkiem marzeniu wychylić powoli kroplę po kropli ten kielich rozkoszy jaki podałaś mi pani dając mi swęj miłości, swęj ręki obietnicę... pożegnaj pani matkę swą odemnie, bo ja nie mam siły.... jutro lub dziś wieczór będę tu i może mi danem będzie nazwać cię pani moją narzeczoną!...

To rzekłszy okrył pocałunkami moje ręce i wybiegł z salonu drzwiami, od których siedzieliśmy o kilka kroków zaledwie.

Powstałam, nogi się chwiały przedemną. Znowu więc posłyszałam ten cudowny wyraz: kocham i drugi bratni mu a tak dźwięczny, tak tajemniczo rozkoszny: narzeczoną! Pokój ze wszystkimi swemi sprzętami wirował wkoło mnie i przed sobą nie widziałam.

Nagle poczułam się pociągniętą za rękaw, ktoś ujął moją rękę i sama nie wiedząc znalazłam się w sali jadalnej z Binią, która ciągnąc mię za sobą śpiesznie mówiła.

— Pierwszy raz w życiu słuchałam pode drzwiami, ale było to z trwogi o ciebie... przewidywałam że ci się dziś oświadczy... tak się i stało... przyjąłś go prawie... nieszczęśliwe dziecko, pójdźże i zobacz sama...

Tu zatrzymała się i wskazujący palec wyciągnęła ku nawpół otwartym drzwiom od przedpokoju.

Dziś jeszcze, po wielu upłynionych latach wspomnienie widoku jaki ujrzałam wówczas, przejmując mię bolesnem uczuciem, dziś jeszcze rumieniec wstępuju mi na policzki przy tem wspomnieniu, a na serce kładzie się dłoń mroźna. A jednak wiele już lat upłynęło odtąd, wiele różnych na tym biednym świecie widziałam rzeczy! Cóż więc musiało dziać się ze mną wówczas, wówczas gdy byłam tak młoda, świeża duszą, niedoświadczona, tak łatwo i uparcie wierząca...

Na środku przedpokoju stał pan Lubomir ubrany uż w palto i w kapeluszu na głowie. Przed nim o parę kroków stała garderobiana moja Zosia, trzymając w ręku żelazko do prasowania. On trzymał drugą jej rękę i ciągnął ją ku sobie. A twarz jego mój Boże! jakież wyraz miała twarz jego! Wstrętny jakiś, brzydki, niepojęty dla mnie, ale taki że na widok jego twarz moja oblała się ukropem, brwi ściągnęły się mimowoli, powieki kłoniły się w dół pod naciskiem niezmiernego wstydu. Nie spuściłam ich jednak, okropna przejęła mię żądza zobaczenia, usłyszenia wszystkiego.

Zosia cała w płomieniach wrywała się i odwracała głowę. Pan Lubomir nie spuszczał z niej wzroku i coraz silniej pociągając ją do siebie, wymówił dość cicho ale głosem, którego każdy dźwięk przeżywał me serce: Czegoż wrywasz się, moja śliczna! takie masz piękne fluterne oczki, pozwól abym na nie popatrzał!

— Ja nie mam czasu, proszę pana! odparła dziewczyna wrywając się z całej siły.

— No co tam, że nie masz czasu! czyż nie możesz poświęcić mi jednej chwilk! Ja ciebie tak kocham...

Nie więcej nie widziałam, nie więcej nie słyszałam...

Ostatni wyraz wpadł mi do piersi jak kula ognista, ciemno mi się zrobiło w oczach, dłońmi zakryłam płonąca twarz. Posłyszałam jak Binią zatrzasnęła drzwi do przedpokoju i poczułam, że położyła rękę na mem ramieniu. Słowa które mówiła do mnie, jak niewyraźne brzmienie dochodziły do mego pojęcia; rozumiałam tylko że piastunka moja widziała już nieraz, jak człowiek w którego szlachetność i miłość uwierzyłam, w podobny sposób zalecał się do mojej garderobny i nie spokojna o mój los umyślnie dziś oddaliła z przedpokoju lokajów, a wysłała tam pod jakimś pozorem Zosię, bo była pewną tego co nastąpiło i chciała mi oczy otworzyć.

Odjęłam dłonie od twarzy, skrzyżowałam ręce na piersi i stałam nieruchoma patrząc przed siebie, a nie widząc.

Jeden tylko wyraz, ten wielki, święty wyraz: kocham! brzmiał mi wciąż w uchu, ten wyraz zbluźniony, wymówiony do mnie przed chwilą z takim zapalem i taką prawdą w głosie i jednocześnie temiż ustami rzucony pod nogi pokojówce, na podłogę przedpokoju z pustym śmiechem i zmysłowem uniesieniem!

Poczułam na ustach uśmiech pałacy, gorzki jak piolun, po chwili uśmiech ten rozszerzał się i coraz więcej palił i bolał, aż roztworzył całkiem moje usta, z których wyszedł śmiech głośny, długi z samej głębi piersi i rozlegający się po obszernej sali całą gamą o coraz wyższych, przenikliwszych tonach. Upadłam na kanapę, twarz znowu zakryłam dłońmi i śmiałam się ciągle, coraz głośniej a w piersi bolało mi coś i jęczało i ręce czułam całe mokre od łez.

— Co to jest? co to się stało? posłyszałam przy sobie głos mojej matki, która przerażona rzuciła się ku mnie, odrywała mi ręce od twarzy i sama rozpinając moją suknię. Wody! wody! wołała z przerażeniem i kropiła moje skronie orzeźwiającym płynem, ale ja nie przestawałam śmiać się, zdawało by się że jakiś demon śmiechu wstąpił we mnie, a ja nie mogłam wyrzucić go z siebie, siliłam się a nie mogłam. Doktor! wołała moja matka przesywającym głosem; po tym jej wykrzykniku słyszałam jeszcze ruch jakiś w koło siebie, zdawało mi się że mię niesiono aż przestałam całkiem słyszeć i czuć... straciłam przytomność.

Kiedy otworzyłam oczy leżałam w łóżku rozebrana, a przy mnie stał lekarz z zamyśloną twarzą; matka moja blada i bardzo smutna, Binia z zapłakanymi oczami, bez okularów, które znać zdjęła w przystępie rozpacz i z czepek opadającym z siwych włosów.

— Niech pani się uspokoi, rzekł lekarz zwracając się do mojej matki, niebezpieczeństwa nie ma żadnego. Córka pani doświadczyła nerwowego ataku, który żadnych po sobie ważnych nie zostawi następstw, oprócz skłonności doświadczenia na przyszłość podobnych. Musiał to być skutek bardzo silnego moralnego wstrząśnienia, a oprócz tego panie tak niszczyć swoje zdrowie i rozstrajają system nerwowy ciągłą zabawą, bezsennością, wrażeniami światowego życia, że...

Przy ostatnich wyrazach lekarza, matka moja spuściła oczy, fałdy na jej czole stały się bardzo głębokie, przenikałam że dręczył ją w głębi wyrzut jaki sobie czyniła, niepokój o mnie.

— Zapiszę córce pani uspakajające lekarstwo, ale przede wszystkim zalecam, aby przez trzy dni najmniej ani na krok nie opuszczała swego pokoju, nie widywała nikogo oprócz domowych, i zostawała otoczoną najzupełniejszą ciszą i spokojnością... System nerwowy silnie jest podrażniony, radziłbym nadal powstrzymać się od bezsensownych noc, częstego gwaru i zabaw, wrażeń działających na wyobraźnię inaczej może nastąpić nerwowe osłabienie i rozstrojenie, którego tyle z naszych pań doświadcza, a które z czasem psuje organizm fizyczny i niekorzystnie wpływa nawet na charakter...

Zwrócił się do mnie z pytaniem.

— Pani musisz się czuć osłabioną i doświadczać bólu głowy?

W istocie, miałam w skroniach ból nieznośny i byłam tak słabą że zaledwie podnieść się mogłam na łóżku.

Jak tylko lekarz oddalił się wzięłam rękę mojej matki i całując ją rzekłam:

— Moja mammo! proszę cię abyś tak uczyniła, iżby pan Lubomir nie przestąpił więcej nigdy progu naszego mieszkania!

Usiadła przy mnie i długo patrzyła ze łzami w oczach.

— Wiem o wszystkim, wyrzekła w końcu, Balbina całą rzecz mi opowiedziała. Nie masz szczęścia moje biedne dziecko, a jednak ja sama łudziłam się.

Znowu pochyliła głowę jakby wstydyła się i wyrzucała sobie że nie zdołała ochronić mię od złudzeń i bolesnego rozczarowania.

— To co cię spotkało, mówiła dalej, to co widziałas dziś i co cię tak mocno dotknęło, może liczyć się do powszednich i całkiem zwyczajnych zdarzeń. Niejedna panna starsza od ciebie i z innymi pojęciami i żądaniami, zaśmiałyby się tylko z czegoś podobnego albo by co najwięcej bardzo lekko się zmartwiła, ale ani by jej na myśl przyszło wyrzekać się świetnego marjażu dla tego, że garderobiana jej przystojna, a narzeczony lubi ładne twarze wszędzie

gdzie je napotka czy to w salonach, czy w przedpokojach...

— Moja matko! zawołałam podnosząc się żywo. czyliż sądzisz że i ja podobnie uczynić powinnam była? Czyliżbyś chciała abym oddała czyste, całe, tak żywo i niezmiernie mogące kochać moje serce człowiekowi, który rzuca swoje na wszystkie wiatry świata, pod nogi subretkom i garderobianym....

— Serce? wyrzekła z wolna moja matka; czyż myślisz że u niego serce grało tu najmniejszą rolę w zalotach do twojej pokojówki?...

— A jednak, mówił jej że ją kocha! zawołałam.

— Moje dziecko! odpowiedziała matka ze smutnym uśmiechem, mężczyźni nie cenią tak jak my tego wyrazu, rzucają go często w żarcie, w uniesieniu jakimkolwiek na wiatr....

— O, moja mammo! przerwałam, ja nie chcę człowieka, który mówi że wyraz ten ceni wysoko a lekceważy nim w gruncie, ja nie chcę człowieka który wyraz ten na wiatr rzuca!...

— I dobrze jest że nie chcesz takiego człowieka wyrzekła moja matka po chwili smutnego zamyślenia. Zapewne praktycznie biorąc możesz źle wyjść na tem, możesz nie znaleźć nigdy a przynajmniej długo świetnego losu, jakiego bardzo dla ciebie pragnę, ale Wacławo moja, ja nie należę do rzędu matek, które pragną z duszy swego dziecka zetrzeć wszystkie wryte na niej litery lepszych i wyższych pragnień, a zastąpić je samymi arytmetycznymi cyframi sprowadzonemi do jednego mianownika materialnego powodzenia. Sama będąc w tym wieku marzyłam, duchem wyrywałam się za obręb otaczającej mię sfery, śniłam o ideale... znalazłam go ale i utraciłam własną winą... Wszakże ze snów mojej młodości i z cierpień późniejszych zostało we mnie coś co mi mówi, że dobrze czynisz szukając po świecie nietylko bogactwa i świetności, ale cnoty i prawdy, coś co przeszkadza nie gniewać się na ciebie za to, że odrzucasz bogactwo i brzmiące imię dla tego, że razem z niemi nie ujrzałaś szlachetności i prawdziwego uczucia!

To rzekłszy matka moja pocałowała mię w głowę i odeszła. Zostałam sama w pokoju o przysłoniętych sztorami oknach, słaba z bolącą głową, z pustką która nagle utworzyła się w mej piersi.

### LIII.

W trzy dni potem siedziałam jeszcze według zalecenia lekarza w swoim pokoju, z bólem głowy i mocno zmęczona a wzruszona, bo przed chwilą właśnie opowiedziałam historję katastrofy zaszłej ze mną i z p. Lubomirem. Helena która siedząc naprzeciw mnie słuchała uważnie, nie przerywała mi ani jednym słowem tylko od czasu do czasu uśmiechała się właściwym sobie smutno ironicznym uśmiechem. Zdziwi się może ktokolwiek że tak drażliwe i przykre dla mnie przejście opowiadałam towarzysze, ale naprzód jak najczęściej bywa u bardzo młodych osób, nie miałam tajemnic dla rówieśnic moich z którymi byłam sprzyjaźniona, następnie Helena była mi jedną z najsympatyczniejszych i najbliższych towarzyszek, nakoniec była ona znacznie starszą i doświadczeńszą odemnie, wierzyłam w jej rozsądek i znajomość ludzi, pragnęłam więc aby mi wytłumaczyła to czego dotąd jeszcze w postępowaniu i osobie p. Lubomira zrozumieć nie mogłam.

— Jeżeli nie w szczególności to w ogólności przedwidziałam to co mi teraz opowiedziałas, ozwąta się Helena gdy skończyłam mówić, byłam pewną że ulegniesz rozczarowaniu, tak prędko jak uległaś złudzeniu p. Lubomira, znam go oddawna; był on pierwszym młodym człowiekiem którego poznałam i który sta-

rał mi się podobać gdy w świat wyszłam, miałam dla niego dość żywą sympatję, tak jak ty uznawałam go skończonym ideałem i tak jak ty również choć innemi sposobami i zbiegiem innych wypadków przekonałam się, że jest to sobie wielce tuzinkowe indywidualum i że cała garść marzeń i westchnień jaką en l'honneur de lui straciłam, była najzupełniej próżnym wydatkiem...

— Ależ moja droga! zawołałam, dla czegoż tak pięknie mówisz? dla czegoż tak wzniosłe i szlachetne wygłasza zasady i pojęcia?

— Deklamator! odrzekła krótko Helena wzruszając ramionami.

— Czy podobna, jednak wymówiłam jeszcze, aby mówiąc w ten sposób człowiek nic a nic nie czuł tego o czem mówi, nie a nic nie obstawał w życiu za tem co wygłasza? Helena uśmiechnęła się po swojemu i znowu ramionami wzruszyła.

— Moja Waciu, wyrzekła, gdybyś była cokolwiek doświadczeńszą niż jesteś a cokolwiek mniej wrażliwą i skłonną do uwierzenia pięknym pozorom, dostrzegłabyś w samych słowach p. Lubomira przesadę, nadętość, więcej brzmiących wyrazów i frazesów niż zdrowych i głębokich myśli. Jest to moja droga dzwon wydający z siebie donośne głosy ale wewnątrz pusty, jest to jeszcze aktor nie umiejący nawet dobrze na pamięć swojej roli, ale recytujący ją wielkim głosem i z wielkimi gestami dla uczynienia efektu na spektatorów jest to jeszcze przede wszystkim nicieś chodząca, która poczuwszy sama w sobie że jest nicieścią a nie chcąc uchodzić przed światem za taką, oblekła się od stóp do głowy w wiele mówiącą, melancholję, w romansowe zamyślenie, we wspomnienia przeżytych cierpień, w duchową idealność i poetyczność, w cały ten słowem arsenał wyuczonych pozycji, frazesów, spojrzeń, gestów, mimiki, w jakie uzbrajają się zarozumieli a ambitni głupcy, hultaje, chcący posiadać uwielbienie ogólne, a nie myślący o zdobyciu go jakakolwiek zasługą, pogromcy sere kobiecych idący do swych celów w romantycznym płaczu Almawiwy, z melancholijnym spojrzeniu Dafnisów i *tuti quanti* podobnych głupców, hultajów, Donkiszotów i Donzuanów od których niech każdą z nas broni Bóg i Najświętsza Panna Marja Ostrobramska!

Wypowiedziawszy tę tiradę Helena odetchnęła głęboko, bo ból piersi jakiego doświadczała utrudniał jej długie mówienie, ale widząc że patrzę na nią z lekkiem zdziwieniem uśmiechnęła się i mówiła dalej:

— Moja droga! Spozrzegam że dziwisz się iż mam tyle doświadczenia i umiem tak dobrze rozgatkować ludzi. Otóż nie dziw się, mam dwadzieścia dwa lata, sześć lat całych i okrągłych żyję już na świecie jako panna dorosła i na wydaniu, do tego jak wiesz mam niezły choć niezbyt wielki posąg, nie jestem zupełnie brzydką, a rodzice moi pragną abym się co najwięcej bawiła, jak najładniej ubierała, jak najświetniej za mąż poszła i t. d. To wszystko dało mi sposobność poznania wielu ludzi, a że mam z natury dar spozrzegawczy i że długo byłam dręczona takąż żądzą ideałów jaka ciebie dręczy, zatem.... zatem patrzyłam, myślałam, poznawałam i.... poznałam. Poznanie to kto wie? może mi życie kosztować będzie, bo z początku wiele płakałam, potem wiele śmiałam się a śmiech wierzał więcej mi zaszkodził od płaczu. Mówiłaś mi że i ciebie śmiech porwał gdy zobaczyłaś ową sławną scenę w przedpokoju, to źle, strzeż się podobnego śmiechu bo mogą ci z czasem piersi boleć jak mnie bola, nerwy ci się rozstroją i dostaniesz kaszlu który bardzo źle wróży.... No, ale mniejsza oto! o czemże to ja chciałam mówić, ciągnęła Helena po krótkiej pauzie w czasie której zakaszłała



w istocie, a! o panu Lubomirze! Otóż widzisz znałam ja niejednego już takiego romantycznego młodzieńca który śpiewał, ba, czasem i pisał allias gryzmolił ody pochwalne na cześć miłości, prawil o wiekuistym połączeniu się serc dwojga, o kochaniu do grobowej deski, o chatce w lesie z ukochaną a obok tego nie pogardził przystojną twarzą pokojówki i recytował przed nią słowo w słowo, tylko w przystępniejszej nieco formie, to w garderobie co tój ukochanej swojej prawil w salonie.

I takich jeszcze zdarzyło mi się widzieć, którzy przesiedziawszy kilka lat w Paryżu i nasłuchawszy się tu i owdzie tego i owego, szerokie mówili kazania o równości wszystkich ludzi pomiędzy sobą, głośno powstawali przeciwko przesądom tego świata, oświadczałi że są rycerzami gotowemi w każdej chwili skruszyć kopię z każdym ktoby się jeszcze przesądów tych miał trzymać, — ale gdy nadeszła sposobność wprowadzenia w czyn tych wszystkich pięknych wygłaszanych frazesów — traf, rycerz przemienił się w barana i ze spuszczoneym łbem biegł za swym stadem i beczał jak inne beczaty.... Otóż pan Lubomir jest jota w jotę takim Donżuanem strojącym się w płaszcz Almawiwy i w sentymentalizm pasterzy złotych wieków; takim rycerzem wojującym językiem a w obec czynu przemieniającym się w wiernego swemu stadu barana, i w tem to właśnie leży klucz do zagadki jego całej moralnej wartości, redukującej się do zera i tój pozorniej sprzeczności, która leży pomiędzy słowami jego a postępowaniem.

— Czy jesteś zupełnie przekonana, przerwałam, że pan Lubomir nie miał żadnej istotnej słuszności odmawiając ręki swój siostry panu Władysławowi N. i że uczynił to jedynie przez dumę i posłuszeństwo zwyczajom panującym w jego klasie?

— A ty czy jeszcze wątpisz o tem? zapytała nawzajem Helenka. Czyliż człowiek który udaje zapał miłosny, przysięga miłość do grobowej deski a w moment potem przeniewierza się własnym słowom w najlękomyślniejszy i najbrudniejszy sposób, może być pod innymi względami konsekwentnym z samym sobą, szczerze wyznającym w czynie to co wyznaje i głosi ustami? Nie moja droga, pan Lubomir nie miał żadnej słuszności raniąc tak boleśnie serce biednej Zosi, i odpychając od niej jedyną może sposobność uczeiwego i prawdziwie szczęśliwego zamiężpójścia, jaka jój się w życiu wydarzy. Pan N. lubo jest jeszcze młodym, posiada ogólną i ustaloną opinię zacnego rozumnego i biegłego w swym zawodzie człowieka. Wiem o tem szczegółowo i dokładnie, bo stryj mój który jak wiesz jest bardzo bogaty, ale usposobieniem różni się wielce od mego poczciwego i najlepszego ale pełnego kastowych pojęć ojca, używa zwykle pana N. jako adwokata i niezmiernie go lubi i szanuje. Brat mój stryjeczny którego nie znasz, bo ucześnie on teraz na Uniwersytet, jest najściślejszym pana N. przyjacielem. Przyjeżdżał on właśnie w tych dniach do rodziców z powodu pewnych spraw familijnych, i widział młodego adwokata w kilka godzin po otrzymanej przez niego od brata Zosi odmowie. Opowiadał nam że znalazł go pogrążonego w wielkim i prawdziwym żalu, nad którym jednak panowało poczucie obrażonej dumy i godności osobistej. Lubomir bowiem niezem rozumnem nie umiał usprawiedliwić swojej odmowy, a z całego jego znalezienia się i sposobu wyłożenia takowej pan N. wniosk, że jedyną przeszkodą do połączenia się jego z Zosią stanowi w wyobrażeniu jój brata pozycja jego społeczna jako człowieka pracy, który sam sobie winien wszystko i nosi jak wiadomo demokratyczne nazwisko, przypominające koniecznie pochodzenie od zagrodowej szlachty....

— To okropne! zawołałam, jaka obłuda! co za nie-

szczerłość. — Wszak jeszcze brzmią mi w uchu słowa pana Lubomira:

„Pękają już mury średniowiecznych przesądów, które dzieliły dotąd ludzi na klasy i stany! Dziś praca uszlachetnia! Dziś poczciwy biedak więcej wart od nieuczciwego bogacza.”

— I tam dalej! i tam dalej! przerwała mi śmiejąc się Helenka. Frazesa żywcem wyjęte z ust jakiegoś republikańskiego mówcy albo jakiegoś zrujnowanego markiza, starającego się o córkę bogatego episiera i pragnącego przypodobać się *au pauvre diable le riche papa* admiracją rotury i naprędece włożoną czerwoną czapkę. Pan Lubomir przywiózł z sobą z zagranicy wszystkie modne formuły o egalizacji i fraternizacji, i popisuje się niemi tak jak Diumasowskiemi apostrofami do miłości, melancholijnemi pozami i tym podobnemi obsłonkami, któremi pragnie pokryć swą istotną nicość, zajaśnieć w towarzystwie i sprawiać swoją błądą zresztą osobistością nieustanne efekta, ale gdy idzie o wydanie siostry za człowieka który nie posiada dóbr i pracuje na kawałek powszedniego chleba, o! wtedy rzecz inna! Wtedy *pardon monsieur, vous êtes peu-ple* a moja siostra jest *bien neé* i powinna zostać jaśnie wielmożną panią nie jakąś tam adwokatawą, czy doktorową, czy jakiegokolwiek tam zresztą demokraty i wyrobnika żoną. Inaczéj jakżebym spojrział w oczy światu? Jakżebym pogodził moją własną wielkość z małością mego szwagra *le pauvre diable* adwokata czy kogoś tam z tego gatunku?

Co innego, moja droga, mówić a co innego czynić. Dla mówienia pięknych i górno-brzmiących słów dosyć jest mieć trochę pamięci i wiele próżności, ale dla dokonania czynu trzeba odwagi i prawdziwych przekonań a tych mój Boże okazów świat nasz posiada tak mało, jak zoologiczne gabinety białych kruków albo czarnych łabędzi....

Ostatnie wyrażenie było ulubionem przez Helenkę porównaniem gdy mówiła o miłości, szczęściu lub ideałach.

Umilkła i czoło na dłoń spuściwszy zamyśliła się. Na białych jój policzkach wybiły się dwie plamki, z oczu wpatrzonych w posadzkę strzelał smutny a gorący wyraz. Z wielkim smutkiem patrzyłam na nią. Sześć lat, mój Boże, sześć lat tylko życia spędzonego w ciągłym gwarze zabaw i tłumie ludzi, tak chłodne, bolesne rozczarowanie wlało w tę piękną myślącą i szlachetną istotę!

Nagle Helenka podniosła głowę i zawołała.

— A propos! zapominam ci też oznajmić ważną nowinę, *la nouvelle du jour* którą od wczoraj cały nasz świat powtarzał!

— Cóż to takiego? zapytałam ciekawie.

— Zenia przyrzekła p. Michałowi....

— Czy już? zawołałam.

— Już i to po długich wahaniach się, odpowiedziała Helenka. Stało się to w dniach gdy byłaś cierpiącą i nie mogłaś widywać nikogo. W braku ciebie Zenia obrała mię sobie za powiernicę, i któregoś dnia wpadła do mnie, jak to wiesz ona umie z trzaskiem drzwi i szelestem sukni, uściśnęła mię i zawołała.

„Czy wiesz? już oświadczył się ..“ „I cóż mi odpowiedziałaś? spytałam. Rozkazałam mu aby na decyzję moją czekał trzy dni! A jakąż będzie ta decyzja? — Alboż ja wiem? zdaje się że odmówię! — Po tój rozmowie z pół godziny biegała po moim pokoju od okna do drzwi i od drzwi do okna, nie mówiąc a tylko szarpiąc z całej siły rękawiczkę, potem uściśnęła mię znowu i pojechała, ani wspomniawszy więcej o panu Michale. Nazajutrz zaledwie ubrałam się przyjechała znowu. Była daleko

już poważniejszą i co dziwne, nie miała wca-

le na twarzy rumieńców. Usiadła ze mną na sofce i ze dwie godziny prawila mi o różnych rzeczach, o sukniach, o teatrze, o wczorajszym wieczorze, a ani słówka nie wspomniała ani o panu Michale ani o swym postanowieniu. Mówiła zaś tak prędko i ciągle jakby lękała się abym jój nie zadała jakiego pytania. Dopiero żegnając się ze mną i zawiązując wstążki od kapelusza rzekła krótko:

— Czy wiesz? zdaje mi się że dam mu słowo! potem nie czekając mojej odpowiedzi pocałowała mię i wybiegła z pokoju. Tego samego dnia wieczorem znowu przyjechała. Biedną rękawiczkę trzymała w ręku całkiem podartą i poszarpaną.

— Wyobraź sobie! zawołała zaraz przy wejściu, mama koniecznie chce abym mu przyrzekła. Emilka odradza, ja sama też nie chcę go i z pewnością odmówię!... Odmówię! odmówię! powtórzyła kilka razy szarpiąc nieszczęśliwą rękawiczkę, porozmawiała jeszcze ze mną parę minut o rzeczach obojętnych nie chcąc nawet usiąść i uciekła. Wczoraj byliśmy z mamą u jój matki, a w czasie gdy starsze panie usiadły na kanapie i zajęły się rozmową, Zenia pociągnęła mię do swego pokoju i chwytając moją rękę rzekła. Czy wiesz? już przyrzekłam! Poczem zakryła twarz chusteczką i w głos się rozplakała. Emilka była także bardzo smutna i lzy miała w oczach. Przyznam się że żałuję Zeni, dobra to bardzo i nie głupia dziewczyna, a przewiduję że nie będzie wcale szczęśliwą, jeśli danie słowa przysięszemu małżonkowi tyle ją walki i bólu kosztowało...

Zaledwie Helenka skończyła mówić, gdy z trzaskiem i na oścież otworzyły się drzwi a do pokoju weszły Emilka i Zosia. Przy pierwszych powitaniach i uściśnieniach uważałam, że twarz Zeni miała wyraz rozpromienienia i wesołości. Usiadła przy mnie i zapytała z cicha: Czy wiesz, Waciu, co w tych dniach zaszło ze mną? Wiem odpowiedziałam patrząc ze zdziwieniem na jój rumianą twarz i śmiejąc się oczy. A więc wszystkie już wiecie o tem! zawołała głośno Zenia zrywając się z kozetki, nie ma więc sekretu? Idę za męż! ślub odbędzie się w ostatnią niedzielę karnawału a ponieważ dzieli nas od nię kilka zaledwie tygodni, jesteśmy z Emilką literalnie zarzuc one robotą i kłopotami....

— Kłopotami około czego? przerwałam.

— Około wyprawy mojej! zawołała Zenia biegając po pokoju i żywo gestykulując mówiła dalej. Myślicie może, iż to jest rzecz łatwa zrobić wyprawę! Otóż mylicie się, i ja tak myślałam, ale widzę teraz że się myliłam. Grand Dieu! jakaż to praca! Mama, Emilka i ja we trzy zaledwie będziemy mogły wydołać zadaniu. Zaczęło się to dopiero od wczoraj a już mam głowę przewróconą od tego huk, stuku, jeżdżenia, targowania się, kupowania, przymierzania a cóż to dalej będzie? Przyjdzie chyba zapomnieć o Bożym świecie...

— I o narzeczonym, przerwała śmiejąc się Helenka.

— Ja sobie swoją drogą a on swoją, odpowiedziała Zenia, ja kupuję suknie, koronki, szale, biżuterję, kapelusze, czepeczki i t. d. a on j pojechał skupować powozy, konie, liberję, meble, zwierciadła i t. d. I nie zobaczymy się aż wilję ślubu.

— Jakto? zawołałam, nie zobaczysz narzeczonego aż w wilję ślubu?

— A na co mi on potrzebny? zawołała Zenia; przeszkadzałby mi tylko w robieniu sprawunków.

— I nie będzie ci za nim tęskno? spytałam. Zenia zrobiła drwiąco wesołą minkę.

— Zeniu ze smutkiem wyrzekła Emilka, gdybyś kochała p. Michała nie tak byś mówiła...

(d. c. n.)

## MAŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

PRZETŁUMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Wdowa wzięła go pod rękę i spojrzała mu w oczy z odwagą, jaką nieczęsto objawiają kobiety.

Dzisiejsze pojęcie o piękności kobiety w Anglii określają po większej części te trzy wyrazy: młodość, zdrowie i dobra tusza. Wdzięk zatem duszy, wykształcenie umysłu, delikatność rysów, żywienie, wyraz pociągający, wiotka kibić, mniej przemawiają do męskiego ogółu wyspiarzy. Ztąd też łatwo wytłomaczyć, że na dziesięciu Anglików którzy zwiedzieli Francję, dziesięciu twierdzi: że ani w Paryżu, ni też w kraju całym, jednej kobiety ładnej nie spotkali.

Kto zatem chciałby wiedzieć jak mistress Glenarm wyglądała, niech zajrzy do składu rycin lub galanterji a zobaczy ją ilustrowaną w oknie w postaci dziewczyny z uśmiechem bezmyślnym i bez szlachetnego wyrazu w twarzy. Wyróżniała się tylko od niej pewną manierą udanej naiwności w spojrzeniu, mowie i ruchu, która mężczyzn z wykształceniem i dobrem wychowaniem szczególniej razić musiała. Każdy też nieznamy, pomimo że w dwudziestym roku życia za męża poszła, a w dwudziestym czwartym owdowiała, nie byłby przypuścił tych zmian w jej życiu zaszłych.

— Więc pan tak szanujesz kwiatek, który masz ode mnie? — zagała figlarnie, że aż gryziesz go jak gdybyś był... koniem.

— Bo też więcej jestem koniem jak człowiekiem. Będę ściagał się pieszo a widzowie wielkie porobią zakłady, i będą wołali na mnie: Hau! Hau!

— Pan o niczem nie myślisz, tylko o zakładach! Czy nie domyślasz się mój wyścigowy rycerzu że radabym za drugimi pójść nad jezioro? Nie puszczajże mojej ręki i prowadź mnie.

— Nie mogę, bo muszę do mojego Perry powrócić.

Perry, był to ów trener mistrz, który go przyspasabiał do zamierzonego wyścigu i czuwał, żeby siły wyścigowego bohatera raczej wzmagały się jak słaby, a przynajmniej w jednej pozostawały mierze. Przybył wcześniej jak zapowiedział i już spełniał swoją czynność z troskliwością godną uwielbienia, a i z powagą wzniesającą ogólne poszanowanie.

— Nie mów mi o tem Perry! zawołała wdowa, i nie twierdź, że jesteś o tyle nim zajęty iż przenosisz jego towarzystwo nad moje.

— Zakład stanął a wyścig odbędzie się za miesiąc moja droga pani, muszę więc starać się godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu.

— Idźże więc do tego kochanego Perry, nie powracaj więcej i nie nazywaj mnie swoją drogą panią.

— Tylko troszkę cierpliwości łaskawa pani, niech tylko ten wyścig odbędzie, to potem w każdej chwili gotów będę na usługi pani. Dziś jestem niewolnikiem obowiązku, za miesiąc twoim zostanę.

Mistress Glenarm położyła rączkę w mocno czerwonej rękawiczce na silnem ramieniu atlety, i uszczypnąwszy chwałę i dumę Anglii, z nieporównanym wdziękiem uśmiechnęła się do niego, dumna wyborem takiej znakomitości.

Od dni dziesięciu bawili razem w Swanhawen i w tym krótkim przeciągu czasu, herkules zdobył jej przychylność najzupełniej. Wczorajszego właśnie dnia w chwili wolnej od układania go przez Perrego, spotkał ją sam na sam i nagle zapytał: czyli zechce zostać jego żoną? Wdowa miała ochotę troszkę się podrożyć, ale namyśliła się i bez żadnego wahania twierdzącą dała odpowiedź. Prosiła tylko o tajemnicę do pewnego czasu, do czego ważne według jej zdania miała powody.

W przeciągu lat dwóch odmówiła ręki swojej ludziom, pod każdym względem o wiele wyższym od Godfryda, lecz nie tak dużym, nie tak pięknym i nie tak silnym jak obecna pycha Albionu. Lękała się więc niechęci swoich odrzuconych wielbicieli i nieporozumień, jakieby z tego tytułu wynikać mogły.

Zanim przybył Perry, Godfryd był powolnym dla niej we wszystkim, od przybycia jednak trenera rady jego i przepisy spełniał z największą punktualnością, nie jadł, nie pił, nawet fajki nie palił jeżeli to nie zgadzało się z jego przekonaniem. Wdówka więc mimowoli przyzwyczajona do uległości tak męża swego starca sześćdziesięcioletniego, jak i roju nadszakujących wielbicieli, stała się zazdrosną o wszechwładnego mistrza, gniewała się, płakała, odjechać chciała, lecz Godfryd pozostał nieugiętym. Patrzyła zatem na niego, jak na niezwykłego bohatera, walczyła z nim, podlegała mu, — nienawidziła i ubóstwiała zarazem. Tą jednak razą zapragnęła zwycięstwa, i z uśmiechem zalotnym ujmując go za rękę rzekła:

— Pójdźmy nad jezioro, proszę cię bardzo o to panie Godfrydzie.

Godfryd spojrzał na zegarek i odrzekł:

— Perry czeka mnie za minut dwadzieścia.

— Znowu Perry!

— Cóż robić, nie mogę przecie być mu nieposłusznym.

Mistress Glenarm z wybuchem gwałtownego gniewu uderzyła Godfryda wachlarzem i strzaskała sztuczny wyrób indyjski.

— Otóż! krzyknęła — złamałam z winy twojej mój śliczny wachlarz.

— Godfryd podniósł z ziemi odłamki, schował je do kieszeni i odrzekł spokojnie.

— Napiszę do Londynu, i przysłać inny a nawet ładniejszy, a teraz proszę o przeproszenie.

— Jakiżś niedobry i niewzględny, odrzekła wdówka słodko z figlarnym uśmiechem.

Godfryd także się uśmiechnął, bo w tych wyrazach wyrzeczonych z taką wabnością, poznał cześć jej dla siebie tyle upragnioną. Wdówka spostrzegła to jego zadowolenie i pragnąc nad upoczywym odnieść stanowcze zwycięstwo, poszepnęła mu z cicha:

— Perry może zaczekać, chwilkę czasu poświęcona dla mnie nie przyniesie żadnej szkody, prowadź mnie więc nad jezioro!

— Powiedziałem już pani, że Perry czeka mnie za kwadrans a w spełnianiu jego przepisów muszę być punktualnym jak zegarek.

Mistress Glenarm głośnym wybuchnęła płaczem, Godfryd zdumiony spojrzał na nią nie pojmując jak można chcieć się sprzeciwić woli Perrego, i potrząsnawszy głową zapytał niecierpliwie:

— Czyliż pani potrafiłabyś go zastąpić i do wyścigu tak mnie przysposobić jak tego wymagają naukowe przepisy tresunku? Odpowiedz pani tak albo nie.

— Cóż za zapytanie?

— Więc osusz pani oczy i nie kładź tamy spełnieniu tak ważnego obowiązku, w którym idzie o cześć moją, a więc i o cześć pani w następstwie rzeczy. Proszę zaraz łzy osuszyć jako obrażające.... jako....

— Nie mogę się przecie towarzystwu z za-

plakanemi pokazać oczami odrzekła zadąsana wdówka, przytem jestem cała oburzona na twój nieznośny upór... Proszę cię, pójdźmy do domu a przy herbacie pomówimy....

— Perry nie pozwala mi w ciągu dnia pić herbatę, a wiesz pani że to tyran nieubłagany.

— Och! ta odmowa tak prostej grzeczności, wybacz panie Godfrydzie, ale najcierpliwszą może zniecierpliwic.

Wdówka wyrzekłszy to odwróciła się z gniewem i bez pożegnania weszła do środka domu. Godfryd pozostał sam, spojrzał za odchodzącą i chciał pójść natychmiast do Perrego, ale zaledwie zstąpił z jednego schodu zatrzymał się szepcząc w myśli:

— Dziesięć tysięcy funtów rocznego dochodu! Hm! hm! djabelnie wyposażona. O podobne egzemplarze nie tak łatwo a nawet coraz trudniej, nie ma więc rady trzeba ją będzie udobruchać. Mistress Glenarm znajdowała się w salonie, zadąsana, pochmurzona co na Godfrydzie nie wielkie zrobiło wrażenie. Doszedłszy do niej, skrzyżował ręce i kręcąc głową rzekł po chwili:

— I pani gniewasz się na mnie, zamiast się cieszyć, że przestrzegam tak wiernie ciążącego na mnie obowiązku? Powinno to być przeciwnie rękojmą przyszłego szczęścia pani... żeby jednak dać dowód mojej powolności, na przebieganie zagniewania pokazę pani *sprint*, którego tajemnicę nikomu w Anglii dotąd nie odkryłem. Rzekłszy to Godfryd wyprostował się przywdziewając na siebie powagę królewskiego majestatu.

Wdówka zaciekawiona wpatrzyła się w atletę pytając z niezmiernem zajęciem:

— Cóż to jest ów *sprint* tak ważny a tak tajemniczy?

— *Sprint* — odrzekł Godfryd prostując się z dumą — jest to bieg krótki, szybki ale nagłą powstrzymywany przeszkodą. W Anglii całej jak szeroka i długa, nawet w Ameryce nie znają go i nigdy jeszcze nie widzieli. Pani będziesz pierwszą co go ujrzysz, zanim stanie się jawnym w szrankach wyścigowych.

— Ach! Godfrydzie — zawołała mistress Glenarm zwyciężona zupełnie tak jawnym dowodem miłości swego konkurenta — gdybyś zawsze był tak względny i ujmujący, gdybyś zawsze starał się tak być dbałym o to, co mi tak wielką niezem niezastąpioną robi przyjemność. Och! Godfrydzie, nie uwierzysz jak ci jestem wdzięczną za ten dowód zaufania jak umiem cenić twoje poświęcenie... miłością natechnione...

Godfryd uśmiechnął się, jeszcze się lepiej wyprostował i podawszy rękę mistress Glenarm sprowadził ją ze schodków, kierując się prosto ku świerkowemu za domem zagajeniu, w którym Perry już oczekiwał na przybycie swego ucznia. Przeszedłszy zagajenie wyszli na otwarte pole, malowniczo pagórkami zasiane i tu i owdzie przedzielone parowem. Na ostatniem wzgórzu, zniżającym się zwolna ku dolinie, stał domek zbudowany z kamieni, przysłonięty z jednej strony gęstą drzewiną. Przed nim chodził mężczyzna niski i szczupły, z założonemi z tyłu rękoma.

Pole było miejscem ćwiczeń bohatera, domek wypoczynkiem dlań po znużeniu a niski, szczupły mężczyzna jego mistrzem. Jeżeli mistress Glenarm nienawidziła trener'a, to widocznie i on również był dla niej niechętny, bo zobaczywszy idącą zmarszczył brwi i coś mruknął pod nosem.

— Któraż godzina? zapytał Godfryd.

— Masz pan tylko jeszcze pięć minut czasu odrzekł Perry i dlatego lękałem się niewymownie czy o terminie nie zapomniaws.

— Ja miałbym zapomnieć? odparł Godfryd i wzniósł ramiona z największem oburzeniem.

—Panie Delamayn odezwała się mistress Glenarm, bądź łaskaw pokazać mi miejsce gdzie się ścigasz. *Sprint* tak mnie zaciekał, że umieram prawie z ciekawości ujżenia go jak najprędzej.

Godfryd poprowadził ją ku miejscu, chorągiewką oznaczonego niedaleko domku. Mistress Glenarm posuwała się niby sarenka przy boku jego, co jeszcze bardziej zdawało się niecierpliwie *trenera*.

— Pozostań pani tutaj! rzekł Godfryd ustawiając ją przy młodem drzewku. Gdy tedy od tej chorągiewki w pełnym przebiegu pędził, jak koń pędzący galopem i zniknął po za gestwiną drzew przytykających do ściany domu, zrobię trzysta yardów<sup>1)</sup>. Perry wyznaczył mi dziś *sprint* długi. Więc stój pani tutaj spokojnie i czekaj.

— Czyliż cię po tym kursie już nie zobaczę?

— Powiedziałem pani, że mnie zobaczysz jak pobiegnę, a potem...

— Tak, ale potem?

— Potem, będę jak dąb podcięty lub trawa skoszona, zmordowany, złamany, wyniszczony słowem do niczego.

— Ale wieczorem przyjdiesz do nas?

— Wieczorem naturalnie znów będę na usługi pani.

U drzwi domku Godfryd spotkał trenera, który strasznie gniewnym zmierzzył go spojrzeniem.

— Miałem już pójść zapytać pana, czy tu jestem potrzebnym lub nie?

— Naturalnie żeś potrzebny: dziwię się nawet jak możesz o to pytać.

— Gdym tu przybył zapowiedziałem, że nie chcę by ktokolwiek był przy trenowaniu, że nie chcę widzów, żadnego świadka coby mógł osądzić, czemu pan podofasz a czemu nie dasz rady. Czyliżem tych nie położył warunków?

— Tak jest położyłeś, ale widzisz....

— Po cóż więc ta kobieta? Nie chcę jej tutaj.

Nikom tak rozkazując objawionej woli Godfryd nie byłby przebaczył, ale w obec znakomitego Perry najpierwszego z trenerów Anglii, powstrzymał się bo nawet i najpotężniejszy atleta winien był przed wyścigami takiego oszczędzać mistrza.

— Ona nie przyjdzie tu już więcej, odrzekł Godfryd potulnie — odjedzie za dwa dni więc nie gniewaj się...

— Oddałem w zakład o pana cały mój majątek, przerwał z rozczuleniem Perry — i myślałem że mi serce pęknie, gdy zobaczyłem tę kobietę, wiszącą u rąku pana. Takiem nieszanowaniem siebie i sił swoich, pan mnie i wszystkich za tobą trzymających krzywdzisz, prawie... okradasz.

— Skończ już raz przecie swoje lamenta, interes twój jest moim interesem i mogę cię zaręczyć, że o wygraną nie mniej dbam od ciebie.

Po chwili zobaczyła mistress Glenarm obudwóch wychodzących z domku. Godfryd miał na sobie ubiór lekki, wygodny, zastosowany do każdego ruchu w którym nader korzystnie wyglądał. Trzymał dumnie głowę, biała jego szyja była odsłonięta a cała postawa o przyszłym świadczyła tryumfie.

Mistress Glenarm patrzyła nań z podziwem i uwielbieniem zarazem, bo wyglądał istotnie jak młody bożek mitologiczny. Przechodząc obok mistress Glenarm nie spojrział nawet na nią: myśl jego cała czemś ważniejszem zajęta była. Usta miał przytem ściśnione a piędnie lekko zwarte.

Perry zły i ponury stanął na stanowisku z zegarkiem w dłoni, Godfryd zajął miejsce przy chorągiewce.

— Raz! dwa! trzy! zawołał *trener*, klaszcząc w dłonie.

Godfryd rzucił się jak strzała, zdało się że do nóg jego i ramion przypięto skrzydła, co tak lekko i zwinnie zdawał się przepływać nad ziemią. Po chwili znikł z oczu śledzących go, Perry pospieszył ku domkowi.

Mistrz i Atleta nie zamienili i słowa jednego. Godfryd usiłował oddech odzyskać, Perry mu posługiwał, natarł go, przebrał i w krzesło wygodnem usadził. Godfryd upadł w nie raczej aniżeli usiadł, a *trener* z wielką uwagą patrzył nań zdumiony.

— Jakżeż? zapytał atleta po upływie pewnego czasu, — jak długo biegłem?

— Dość długo — odrzekł *trener*.

— Ale jakże długo?

— Powiem jak długo biegłeś ale nie przedźnij aż po odjeździe tej naprzykrzonej kobiety, którą widocznie jakieś nieszczęście w chwili tak ważnej przyczepiło do pana panie Delamayn.

Godfryd nie pytał już więcej. Uśmiechnął się zlekka, przymknął powieki i nogi wyciągnął.

— Czy pan pragniesz przespać się nieco? zapytał Perry z niepokojem.

— Nie — odrzekł Godfryd starając się oczy otworzyć, lecz w tej chwili skleił je znowu i głowę zwiesił na piersi.

— Ho! ho! zawołał Perry, źle! — bardzo niedobrze!

Przystąpił bliżej, Godfryd już spał na dobre. Posłyszawszy gwizd jakiś przy oddychaniu śpiącego pokręcił głową, a potem przychyliwszy się lepiej położył dwa palce na pulsie Godfryda: uderzenia były przeciągłe, ciężkie, ostre jak bywa zwykle tętno wysiłonego człowieka. — Perry poblądł, przeszedł się po pokoju, otworzył szafę, wyjął notatki z przeszłego roku i przeczytał o pieszym wyścigu Godfryda następujące zapiski.

— Trzysta yardów, puls dobry, Delamayn w pełnej sile, i gotów ścigać się zaraz powtórnie gdybym na to pozwolił."

Perry przeczytawszy to spojrział z zajęciem, na tego samego człowieka i wstrząsnął się cały, ujrzawszy go tak niepodobnym do tego czem był roku zeszłego.

Wyjął potem papier z szuflady, kałamarz, pióro i dwa listy napisał oznaczone wyrazami: „Do rąk własnych.“ Pierwszy był do doktora, wielce poważanego między trenerami, drugi do ajenta, który jego zupełnie zaufanie posiadał, z żądaniem, aby zrobił zakład po stronie współzawodnika Godfryda, i postawił taką sumę, jaką po stronie Godfryda był złożył. Trzymaj jednak język za zębami, dodał w końcu i słowa te podkreślił.

— Drugi już zużyty! wyszeptał potem z boleścią spoglądając na śpiącego, pożegna on wyścigi na zawsze. Szkoda, wielka szkoda a tyle był obiecującym.

### XXXV.

Tymczasem towarzystwo zebrane nad jeziorem, bawiło się rozmową, przyglądając się z zajęciem rozciągającemu się przed nimi widokowi.

Jeziro otaczał w około las sosnowy rzucający na niego długie cienie, i tylko środek odbijał błękit nieba i płynące z niego słoneczne promienie. W jednym końcu jeziora szeroka przerwa posepne rozdzielała drzewa, a po martwo-eichy wód przestrzeni, kołysały się łabędzie w poważnem milczeniu nadając całemu obrazowi barwę niezwykłej ponurości. Przerwa pomiędzy drzewami osłonięta była czerwona zasłona, a gdy zebrani goście z ciekawością pytali, coby miała za znaczenie, Juljusz odpowiedział,

że jest to niespodzianka dla nich umyślnie przygotowana, i przywoławszy dwie dziewczynki córeczki siostry żony swojej, powiedział im: aby pociągnęły za grube sznury z kwastami, spuszczone po obu stronach zasłony. Dziewczynki poskoczyły radośnie, targnęły za sznury, zasłona rozdzieliła się przez środek i zebranych gości niespodziewany powitał widok, który przyjęli z oklaskami najżywszej radości. Po za szeroko w prostym kierunku wyciątą ulicą, ukazał się plac wielki, równy, zielony. Głęb tegoż tworzyły skały i wśród omszonych kamieni, z szumem kryształowy wypływał strumyk.

Na prawo mieściły się długie rzędy stołów do objadu nakrytych, zastawionych srebrem, porcelaną, szkłem przejrzystem i wykwintnemi wetami. Kiedy pierwsze radośne wrażenie cokolwiek się uspokoiło, Juljusz zwracając się do towarzystwa rzekł:

— Po obiedzie zacni moi goście przejdziemy do balowej sali. Spodziewam się, że programowi dzisiejszej zabawy nie macie nic do zarzucenia, raczcie więc zając miejsca według waszej woli i życzenia.

Podawszy potem ręce dwiem najbliższym paniom bez względu na ich ród i zajmowane w świecie stanowisko, co lady Lundie bardzo się nie spodobało, zaprowadził je do stołu.

Mistress Delamayn szczególnie polubiła młodą narzeczoną, ujęła więc Biankę pod rękę i posadziła ją przy sobie. Lady Lundie usiadła po drugiej stronie pani domu.

Pani Juljuszowa starała się bawić gości rozmową wszelako takowa nie ożywiła się weale.

Tymczasem muzyka grała, służba nalewała kieliszki, obnosiła półmiski, zjadano popijano i rażna, gwarna toczyła się rozmowa.

Do przymiotów Lady Lundie należało także robić różne nieprzyjemne postrzeżenia. Zaraz też postrzegła, że pomiędzy gośćmi nie masz Godfryda i że mistress Glenarm również brakuje.

— Czyli się mylę, zagadła do pani Juljuszowej przykładając szkiełka do oczów, ale zdaje mi się że pana Godfryda nie ma przy stole.

— Przyrzekł nadejść później gdyż zajęty niezmiernie wyścigiem i ztąd widujemy go nader rzadko.

— Spostrzegam również, że i mistress Glenarm nie jest przy stole obecna... przecież ona się do wyścigu nie przygotowywa.

— Nie było jej na tarasie, i nie wiem gdzie się obecnie znajduje.

— To dziwne, odrzekła lady Lundie, ale i jasne zarazem. Kawaler jest piękny a wdówka młoda i ładna. Pan Godfryd ma stanowisko wyższe a wdówka bogata. Oddalili się od towarzystwa oboje... ma to swoje znaczenie i pewno skończy się weselem.

Pani Juljuszowa zmieszana się widocznie. Pragnęła by Godfryd ożenił się z mistress Glenarm, ale nie była przygotowana aby zamiar ten tak łatwo dał się wykonać. Pragnąc jednak młodą wdówkę uchronić od spodziewanej obmowy, odrzekła po chwili.

— Nie jestem wtajemniczoną w uczucia pana Godfryda ani pani Glenarm, na domysł więc pani nie umiem odpowiedzieć.

— Jakaż to dyplomatyczna odpowiedź! Mimo tego coś mi szepece, że w przyszłym sezonie, zobaczę w Londynie młodą panią Godfrydową i powitam w niej znaną mi mistress Glenarm.

— Być może, sucho odrzekła pani Juljuszowa, a lady Lundie domyśliła się wreszcie że dalej już o tym przedmiocie mówić niepodobna. Uśmiechnęła się tylko i pokiwała głową, dając tem do zrozumienia, że jest przekonaną o swojej przenikliwości.

W chwili gdy powyższa ustała rozmowa, Bianka zobaczyła po za sobą dwoje rąk wielkich, które jej duży pasztet truflowy podawały.

Bianka obejrzała się i z wielkiem swem zdziwien-

<sup>1)</sup> Y a r d znaczy łokieć angielski.

niem ujrzała posługacza hotelowego Bishopriggsa. Widziała go w karczmie tylko chwilę niedługo, lecz twarz jego dobrze zapamiętała i zaraz przypomniała sobie domysł stryja, iż on list ów zaginiony ukradł Annie. Chciała zaraz przemówić do niego, ale ją obecność tylu osób wstrzymała. Spojrzała nań tylko raz jeszcze i wzięła kawałek pasztetu.

Cały skład domu w Swanhawan-Lodge był bardzo nieliczny, gdy więc pan Juliusz wystawniejsze dawał przyjęcia, przynajmowano zwykle zdalnych ludzi z Kirkandrew i między tymi znalazł się właśnie Bishopriggs, jako pierwszy posługacz w tamtejszym hotelu.

Nazwisko Delamayn uderzyło go zaraz, zabrał więc z sobą list ów porzucony przez Annę, obliczając słusznie, że może w Swanhawan z niego korzystać potrafi. Obnosząc półmisek dosłyszał przypadkowo powyższą między Lady Lundie a panią Juliuszową rozmowę, i dziękował losowi który go tu sprowadził.

Wrzawa i wesołość pomiędzy biesiadnikami szerzyły się coraz bardziej. Młodzież zwłaszcza też żeńska, poczęła niecierpliwie się widocznie, muzyka dźwięcznym brzmiała walcem, pary do polotu tanecznego były gotowe, pani więc domu dała znak do powstania. Wszystko ruszyło się ochoczo, pan Juliusz skinął na muzykę i w dziesięć minut potem, już tancerzycy stanęli do pierwszego kadryla. Służba także do przyrządzonego dla siebie pospieszyła pikniku. Jeden tylko Bishopriggs ociągał się jeszcze, niby to czuł na rozkazy pańskie, ale głównie zlewał wino niedopite i niedojedzone zbierał słodycze. Wśród tych ważnych czynności ozwał się do niego dźwięczny głos niespodzianie. Obrócił się, Bianka stała przed nim.

— Proszę o szklankę świeżej wody—wymówiła—tam, z tego źródła, i wskazała szumiący potok.

— Ach dla Boga! odrzekł pokręcając głową, chcesz pani oziębic się niepotrzebnie, mając tutaj takie wyśmienite wina. Wziął wszelako kubek i poszedł za nią do strumyka.

— Czy przypominasz sobie moją bytność w Craig Fernie, w oną noc i burzę? zapytała go młoda Bianka zatrzymując się nad brzegiem strumienia.

— A któżby niepoznał tak dobrej panienki! odrzekł i chwycił za kieszeń w której się list Anny znajdował.

Bianka wyjęła sakiewkę, Bishopriggs dostrzegł to natychmiast, ale udał, że ruchu Bianki nie widzi i wpatrując się w strumyk szemrzący, mówił jakby do siebie:

— Strumyku przesłizny! robisz się podobnym do życia ludzkiego! ale wtedy tylko na to zasługujesz, gdy zagrzejesz się przy ogniu a ręka ludzka doda cukru i whisky. Wówczas stawszy się typem wrzącego toddy, nabierasz podobieństwa i do życia ludzkiego.

Bianka otworzyła sakiewkę i odezwała się:

— Byłeś dobrym i względnym dla tej pani, która przez dni kilka mieszkała w Craig Fernie. Wiem, żeś z tego powodu utracił tamże miejsce. Pani ta jest najdroższą przyjaciółką moją, pozwól więc, że okazaną dla niej dobroć przez ciebie, wynagrodzę według mojej możności.

Młoda panienka i sakiewka napełniona, w domach pańskich są to dwa niezgodne z sobą przedmioty, bo albo ją prędko wypróżni, albo na gotowalni swojej zapomni. W sakiewce Bianki znajdował się sovereign i szylingów kilka. Dla bogatej dziedziczki było to niewiele, lecz dla Bishopriggsa wspinały zawsze dar stanowiło. Stary dworus dłoń zacisnął przyjmując ofiarę; i do kieszeni ją włożył, a drugą ocierał lzy rozczulenia zapewne wymuszonego.

— Byłem dla niej ojcem—odezwał się, przewracając oczy pobożnie. Więc ona nie zapomniała tego i wspomniała pani o mnie?

— Tak, mówiła mi o twojej dobroci.

— Czy wolno zapytać, gdzie ta pani obecnie się znajduje?

— Nie wiem, i to martwi mnie najbardziej, oddała się a nie wiem dokąd.

— To nie dobrze! Małżonek pilnował ją dnia pierwszego, a drugiego drapnął przed wschodem słońca. Czy teraz są z sobą?

— Nic nie wiem. Nie znam i nie widziałam go nigdy. Jakżeż on wygląda?

— Tak sobie. Jakieś słabe stworzenie. Nie zna się wcale na dobrym sherry.

Przekonana że dokładniejszego nie otrzyma objaśnienia, Bianka odrazu przystąpiła do ważnego przedmiotu jaki miała na celu.

— Chciałabym z panem pomówić—odezwała się, bo przyjaciółka moja zgubiła wtedy w hotelu...

— Eh! wymówił, udając obojętność zupełną—wszystko nic nie warte w tym hotelu, począwszy od gospożyny. Ale cóż ta pani zgubiła?

— Zginął jej list.

Podejrzliwy wyraz błysnął ze spojrzenia starego hultaja: widocznym było iż pragnął dowiedzieć się czyli podejrzewano, że list ów skradzionym został.

— Pani mówisz, że jej list zginął. Czyliż go skradziono?

— Och nie! odrzekła Bianka czując że się zbyt znacząco wyraziła przypuszczając kradzież listu. Zarzucił się pewnie czy słyszałaś o tem?

— Zkądżeż miałbym słyszeć—odrzekł badany spostrzegłszy zmieszanie Bianki. Powiedz mi pani jednak, dla czego mnie o list ten zapytujesz?

Gdyby Bianka miała pieniądze i wyrzekła: „Master Bishopriggs jeżeli masz ten list to go kupuję od ciebie i przyrzekam tajemnicę, handel byłby skończony, ale na nieszczęście nie posiadała pieniędzy, pożyczycie ich nie mogła bez zwrócenia szczególniejszej na to uwagi, uznała więc że jedyny sposób jaki jej pozostał, było powołanie się na znaczenie sir Patrika. Bez rozwagi zatem wprost mierząc do celu, tak samo jak zapytała Godfryda nieogłędnie w Windygates postąpiła i teraz. Serce jej szeptało: „Odważ się!”—rzekła więc:

— Sir Patrik wskazał mi...

— Sir Patrik? powtórzył Bishopriggs,—i cóż on powiedział?

Bianka odrazu spostrzegła zmianę w jego głosie i wyrazie. Chciała błąd swój naprawić ale już było zapóźno.

— Sir Patrik przypuszczał, żeś może list ten znalazł i zapomniał...

— O! stary djabeł poznał się na mnie, szepnął sam do siebie.

— A co? Czy sir Patrik ma słusność? zapytała Bianka niecierpliwie.

— Słusność? Och nie! tym razem, nie!

— Czy nie wiesz o tym liście?

— Pierwszy raz słyszę dopiero o nim.

Bianka straciła odwagę. Czyliż znowu stryjowi drogę zatamowała do dojścia prawdy? Jedyna co jej pozostawała jeszcze była powaga stryja; odezwała się więc znowu:

— Przykro mi, że sir Patrik się myli. Przyjaciółka moja była o list ten niespokojną i myślałam, że dowiem się czegoś. Sir Patrik jednak w każdym razie pragnie pomówić z tobą i w tym celu zostawił nawet słów kilka w Craig Fernie do master Bishopriggsa.

— List ów długo poleży, jeżeli ma poczekać na moją w Craig Fernie bytność.

— To wskaż dotąd go przesłać. Przecież mi tego nie odmówisz?

— Uchowaj Boże! Nie mam teraz stałego pomieszczenia. Ale ot!—i podał jej brudną karteczkę z adresem rzeźnika w Edynburgu: *Samuel Bishopriggs: Cowgate, Embro.*

Bianka odebrała karteczkę i odetchnęła.

— Posłyszysz wkrótce o sir Patriku! i skinąwszy mu głową odeszła.

Posłyszę o sir Patriku! powtórzył sam do siebie Bishopriggs—ho!—ho! panienko, długo on popuka i dokaże prawdziwego cudu, jeżeli się dowie o Samuelu Bishopriggs w Cowgate, Embro.

Przeczytawszy uważnie list Anny i Godfryda, Bishopriggs położył się wygodnie pod drzewami i rozważając całe położenie rzeczy rzekł w duszy: Będę unikał starego djabła, dopóki się w tej całej nie rozpatrzę sprawie czyli mówiąc wyraźniej, nie chciał wdawać się z sir Patrikiem, dopóki nie spróbuje wyzyskać wprzód innych jeszcze osób, którym na tej korespondencji może coś zależeć.

Ale gdzież poszukać tych innych osób?—Pomyślał o posłyszanej przy stole rozmowie między Lady Lundie a panią Juliuszową, i wyciągnął wniosek: że ponieważ master Godfryd Delamayn stara się o mistress Glenarm, a na owym liście pisanym do Anny Silwester był Godfryd Delamayn podpisanym, list zatem który posiadał, ważnym być musiał dla nich. Nieznajomą zaś panią w Craig Fernie była niezawodnie Anna Silwester, teraz więc należało tylko sprawdzić, czyli ten który za jej męża uchodził był Godfrydem Delamayn. Postanowił zatem wszystkiego zrecznie dowiedzieć się od służby, ale nie od mężczyzn, bo pociągnęliby go do pohulanki i straciłby czas niepowetowany. Tylko od kobiet łatwiejszych do zwierzeń i gadatliwości. Plan wybornie mu się udał, dowiedział się bowiem wkrótce, że Godfryd jest u trenera, i że Perry doń nie puszcza nikogo. Ze zaś szło mu jak wiemy, konieczne o zobaczenie bohatera, przekradł się więc wśród zarośli i przystanął blisko domku po za drzewem. W domku usłyszał głos wołający:

— Dalej że master Delamayn, czas ubiega!

— Wszystko w porządku! głos drugi odpowiedział i ukazał się Godfryd by wyznaczoną przebiez miłą.

Bishopriggs wysunął się nieostrożnie, chcąc zobaczyć go lepiej.

— Holla! krzyknął w tejże chwili Perry, dostrzegłszy kryjącego się za drzewo. Holla! Czegoż tu szukasz?

Bishopriggs otworzył usta by odpowiedzieć.

— Któż jesteś u djabła? krzyknął mu Godfryd nad uchem.

— Szpieg! szpieg! zawołał trener, szpieg, który pana śledzi przy trenowaniu.

Godfryd uniósł pięść potężną, ażeby go uderzyć, lecz powstrzymał go Perry.

— Daj pokój, Sir! Stary człowiek, nie przyjdzie on tu już więcej, bo i tak dosyć mu strachu napełdziłeś.

(d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu dodatku arkuszowego, dołączonego do N. 13. Tyg. Mód.

N. 30. Czepeczek z barbą frywolitową.

Strojny ten czepeczek napięty jest na formie z tiulu, podszyty drucikiem ze wstążki kolorowej 2 i pół cent. szerokiej, z gałązki kwiatów i frywolitowych końcy, mających od 20—24 cent. długości. Każdy z końców liczy po 18 rozetek, które ułożone są podług N. 30 w podwójne rzędy i łączone małymi gwiazdkami o 4—5 owalach. Rozetki można odrobić z czarnego jedwabiu lub z bawełny, desenie rozmaite podawaliśmy już nieraz. Denko tiulowe pod kwiatami obszyte jest rzędem rozetek.

N. 31—39. Pokrycie na stolicek, poduszkę i t. d. Wyszycie na tiulu i frywolity.

Materiał: Tiul grosbotowy, bawełna nie kręcona średniej grubości, przędza do wywodzenia, wstążka kolorowa 3 cent. szeroka, bawełna do frywolitów.

Podane przez nas próbki wywodzenia na tiulu, użyte być mogą na kapy do poduszek albo też na poduszkę do chrztu dla dziecka. Odpowiedniej wielkości prosty kawałek tiulu, wywdzi się najpierw przędzą w kwadraty podłużne, podług wzoru N. 31. Kwadraty te z brzegów powinny mieć po 44 oczek; pomiędzy kwadratami pozostawia się 3 cen. szerokie odstępki, które pokrywa krzyżująca się w kratę wstążka kolorowa. Na równo odliczonych kwadratach wywdzi się na przemian niekręconą bawełną desenie pod N. 32—37 podane; miejsce pozostałe z brzegu zapełniają trójkąty. Na wstążce koło kwadratów naszywa się wązki szlaczek z frywolitek; takiż szlaczek gęsto przydzierguje się do koła kapy. Na rogach kokardy z kolorowej wstążki.

N. 40—42. Kaftanik dla dziecka.

Robota szydełkowa i na drutach.

Materiał: estramadura N. 5. 180 cent. wstążeczki kolorowej 1 cen. szerokiej, grube druty i szydełko do ściegu tunetańskiego. Główne części kaftanika są ściegiem gobelinowym, sposobem tunetańskim odrobione, karczki zaś i dolna część rękawków na drutach. Na 50 cent. szerokości dolnej potrzeba zacząć 200 oczek; obrobić 1 raz zwykłym tunetańskim ściegiem, a następnie dla otrzymania ściegu gobelinowego należy zawsze od spodu brać pod całe oczko poprzedzającego rzędu.

Nie przybierając ani gubiąc robi się 13 cent. długości, poczem dzieli u góry na 4 równe części. Z dwóch środkowych po 6 ocz. odlicza się na wykrój do rękawka, reszta stanowi przód, dwie zaś brzeżne stanowią plecy, które obrabia się jeszcze 12 razy w górę, gubiąc co 3 obrobienia 1 o. na zaokrąglenie pachy, poczem odlicza się 28 o. jako wykrój do karczki, pozostałe obrabia się 12 razy gubiąc za każdym razem 1 o. na ramiączko i przy zagłębieniu na wykrój szyi. Część przednią obrobić 9 razy zaglądając o 6 oczek z każdej strony wykrój pachy. Potem odliczyć 11 oczek na ramiączko, obrobić 17 razy wygubiając do 1 o. Następnie obrobić z brzegu raz oczkami ścisłymi i dwoma rzędami pikotów, których robotę dokładnie N. 41 objaśnia. Karczek zaczyna się osobno na drutach na 360 o. i robi w ten sposób ażeby z prawej strony szły w paski naprzemian 2 o. gładko a 4 kręto. Zaraz po pierwszym obrobieniu rozmierzyć robotę stosownie do wykroju i gubić jak to N. 40 wskazuje, od przodu i pleców na utworzenie ramiączka. W górze zakończą się karczki oczkami łańcuszka, przy których obrabia się słupki szydełkowe do przewleczenia kolorowej wstążecz-

ki. Nad słupkami dane pikoty dla ozdoby; tak odrobiony karczek przyszywa się gładko do kaftanika. Rękawki zaczynają się szydełkiem na oczek 65 i nie gubiąc robią do 9 cent. długości, poczem obrabia się jeszcze 6 razy, przybierając 4 ocz. od początku i na końcu dla rozszerzenia rękawa w górę, następnie obrabia o. śc. i pikotami. Dolna część rękawka robi się na drutach w koło jak pończocha, zaczawszy od 84 o. a obrabiając mniej więcej 45 razy, poczem zakończyć słupkami jak karczki, przyszyć do rękawków, i rękawki wszyć w pachę.

N. 43—44. Bucik dla dziecka.

Ścieg tunetański.

Ścieg ten stanowią dwa odmienne tam i napowrót obrobienia, w pierwszym z nich trzeba pęteli mające stanowić oczko, przeciągnąć z lewej strony, przez nitki oczek. W drugim obrobieniu przeciąga się naprzód pętelkę środkiem oczka, poprzedzającego rzędu poniżej poprzedzającego łańcuszka, poczem sposobem na rysunku 44 wskazanym zrabia się też pętelkę wraz z oczkiem poprzedzającego rzędu, na jedno oczko. Tak przerobiwszy rząd cały odrabia się od ręki lewej do prawej zwykłym łańcuszkiem, i powtarza ciągle tą samą koleją.

Cheć mieć bucik 13 cent. wysoki zaczyna się na 26 o. części tylną wraz z cholewą i robi od otworu ku środkowi, przy dwóch pierwszych podwójnych obrobieniach, przybiera się z brzegu od dołu po 1 o.; po obrobieniu 10 razy czyli połowy, obrabia się 2 razy tam i napowrót tylko do połowy długości dla nadania odpowiedniej formy, a następnie kończy drugą połowę. Potem część przednią bucika zaczyna się osobną nitką na 15 o. obrabia z obu stron cholewki 1 raz zwykłym tunetańskim ściegiem, zajmując za dolną nitkę oczek, potem obrobić oczkami podwójnymi, a następnie łączy obie połowki i robi jednym ciągiem gubiąc 2 razy po 2 o. na samym

poprzedniego rzędu, przybierając i gubiąc stosownie do formy, którą najlepiej wyciąć z papieru. Przy otwarciu i u góry oszyć bucik rzędem kulek w dwóch kolorach popielatych, przyszyć guziczki perłowe i zrobić szydełkowe pęteli do zapinania.

N. 45—47. Bucik dla dziecka z cholewą w prążki robioną.

Cholewka i niższa część bucika robi się osobno i ściegiem odmiennym. Ścieg dolnej części tem tylko różni się od zwykłego tunetańskiego ściegu, że pęteli przeciąga się przez pojedyncze nitki oczek poniżej łańcuszka, spo- sobem oznaczonym strzałką na N. 46, a następnie prze- rabia się oczka będące na szydełku zwykłym łańcuszkiem. Cholewka raz robi się zwykłym ściegiem tunetańskim tam i napowrót, drugi raz z wypukłymi prążkami, przerabia- jąc rząd 1 od spodu poprzedniego rzędu i pęteli nowego rzędu przeciągając znowu przez pęteli poprzedzającego rzędu. Oczko podniesione na wzorze N. 47 wskazuje miejsce, za które przeprowadza się oczka do zwykłego tunetańskiego obrobienia. Na cholewkę odrabia się 28 rzędów, poczem w górę obrobić włóczką kolorową zębki z pikotami, na złączeniu zaś cholewki z niższą częścią bucika, obrabia się na wierzchu łańcuszkiem odstającym zębki i długie przeciągane ściegi. Podeszwa zrobiona osobno łączy się z bucikiem oczkami ścisłymi, od których długie ściegi przeciągają się aż za 2 i 3 obrobienia na buciku. Sznureczek szydełkowy do wiązania bucika przeciągnąć trzeba przez powietrzne zębki.

N. 48—49. Dwa szlaczki z aplikacją.

Haft atłaskiem i robota szydełkowa.

Aplikacja wypukłego haftu na tiulu albo cienkim muslinie, przedstawiająca się bardzo efektownie czy to jako zakończenie, czy też jako wstawka, nadzwyczaj jest używaną do wszelkich przedmiotów białych.

N. 48. Przedstawia medaliony odrobione atłaskiem naszyte na obrąbku muslinowym; środek wycięty, zarobiony ażurową kratką.

N. 49. Podaje aplikację szydełkową, która składa się z 5 nawijanych 6 razy prążków, otoczonych pikotami z oczek powietrznych. Naprzód odrabia się nawijane prążki, potem otoczenie z pikotów.

N. 50. Kołnierzyk z ranwerssem i końcami oraz mankiet odpowiedni.

Kołnierzyk, którego formę łatwo sobie dopasować, składa się z wązkiego zakładek muslinu i gładko wszytych wstawek z koronki „bruges“. Koronka „bruges“ otaczająca kołnierzyk wrabia się w tło, wycinając je odpowiednio do deseni. Kolorowe kokardy stanowią gustowne zakończenie do kołnierzyka i mankietów. Ten rodzaj kołnierzyka może być odrobiony z białego muslinu i czarnej koronki, składający efektowny garnitur.

N. 52. Kołnierzyk z podwójnym wyłożeniem.

Na kołnierzyk taki potrzeba prostego paska weby 51 cent. długiego, mającego 2 i pół cent. szerokości z tyłu 1 i pół cent. z przodu do którego przyszyte są podwójne, jeden na drugi zachodzące i obstępnowane ranwersy. Dolny koronką oszty trójkąt ma 14 i pół cent. długości, 2 i pół cent. wysokości środkowej; zwierchnia część jest 17 i pół cent. długa u dołu 5 cent. szeroka i u góry ścięta spiczasto. Suta kokarda ułożona na sztywnym tiulu z kolorowej wstążki i aksamitu, z końcami osztytemi frendzlą stanowi zakończenie.



N. 1. Suknia z tuniką dla starszej osoby.

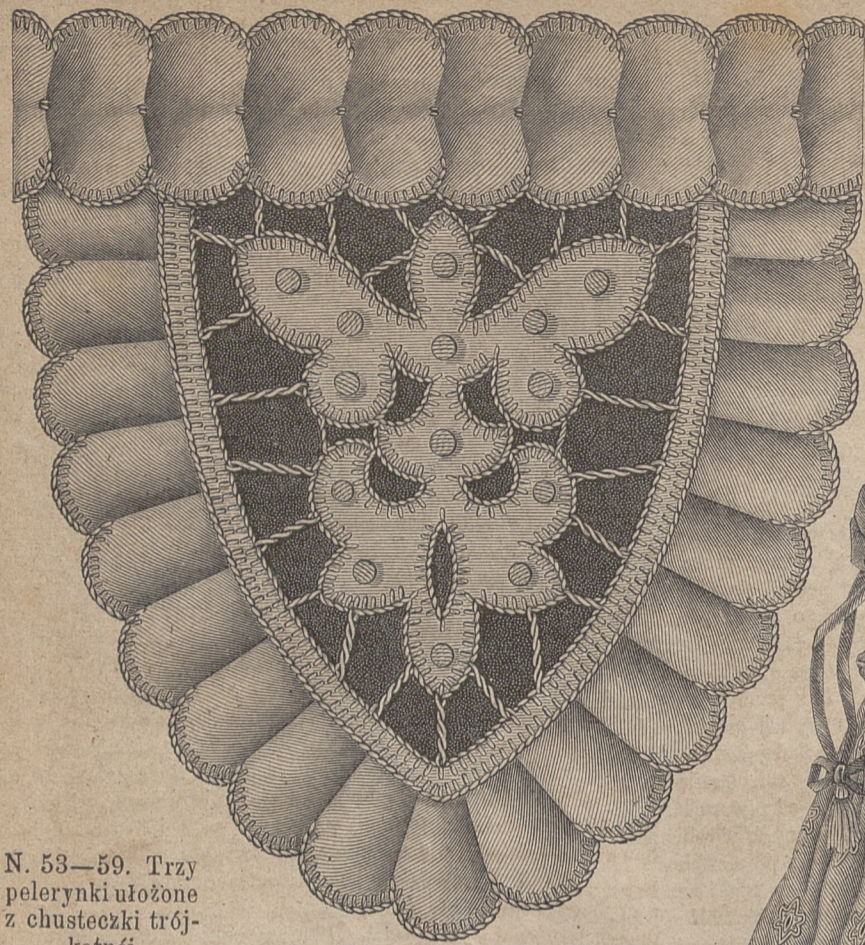
N. 2. Ubranie do pierwszej komunji z białego muslinu. Zobacz także rycinę 52 w N. 15 T. Mód.

N. 3. Ubranie z paletotem dla panienki.

do wykroju i gubić jak to N. 40 wskazuje, od przodu i pleców na utworzenie ramiączka. W górze zakończą się karczki oczkami łańcuszka, przy których obrabia się słupki szydełkowe do przewleczenia kolorowej wstążecz-

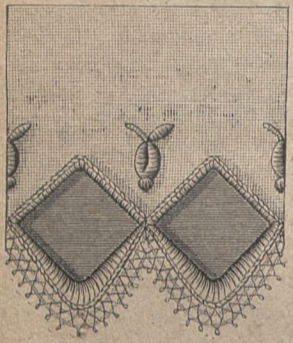
środku, a od dołu przybierając stopniowo dla formy parę oczek. Gdy pozostanie tylko 8 o. zarobić łańcuszkiem. Podeszwę zaczyna się w poprzek od 8 o. dłu- ższości robi się ciągle oczkami ścisłymi, zajmując za obie nitki

lorowej wstążki i aksamitu, z końcami osztytemi frendzlą stanowi zakończenie.



N. 53—59. Trzy pelerynki ułożone z chusteczki trójkątnej.

Z kwadratu muszliny gładkiej lub tiulu w muszki 50 do 72 cent. długiego, przeciętego w poprzek

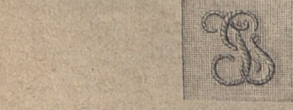


N. 7. Garnirunek do kołnierzyka i mankieta ryc. 33 i 34 w T. M. N. 14.

Brzeg modelu pod N. 53 osztyt pasem muszliny 4 i pół cent. szerokim, ułożonym w wązkie plisowane fałdy, zakończonym 1 i pół cent. szeroką wstawką i 3 cent. szeroką marszczoną koronką. Koło szyi idzie szeroka i wązka koronka naszyta w przeciwne strony. Przyozdobienie modelu N. 54 stanowi szeroka wstawka z koronki irlandzkiej, z obu stron osztyta haftowanymi paskami, zakończonymi plisowaną koronką.



N. 16. Litery połączone. Haft atłaskowy przesyty ściągami.



N. 20. Litery połączone haft atłaskowy.



N. 5. Lambrekina do woreczka. Haft gipiurowy.

otrymuje się dwie trójkątne chusteczki, które układać można pod szyję, w wykrój śpiczasty, podłużny, lub do wyciętej sukni.

N. 53—55. Pelerynka „Gertruda“ i odpowiedni mankiety.

Chusteczka ta przedstawiona z przodu pod N. 53 z tyłu pod N. 54, ułożona jest z trójkątu, mającego 55 cen. długości z brzegu prostego, z tyłu założonego w dwie lub trzy fałdy i przybranego kokardami ze wstążki, których układ wskazuje rysunek.



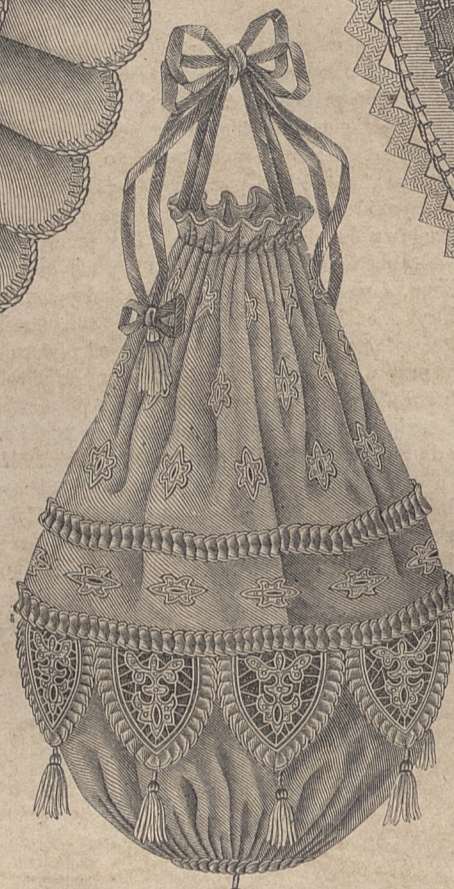
N. 12. Haft atłaskowy w dwóch kolorach. N. 13. Haft atłaskowy i pęczki.



N. 18. Litery połączone. Haft atłaskowy, stembenek i luzne ścięgi.



N. 21. Litery połączone. Haft atłaskowy i pęczki. N. 22. Litery połączone. Haft atłaskowy otoczony przy brzegu stembenkiem.



N. 4. Worek do chowania do woreczka N. 5 i 6.



N. 9. Stebnówka i dzierzganie.



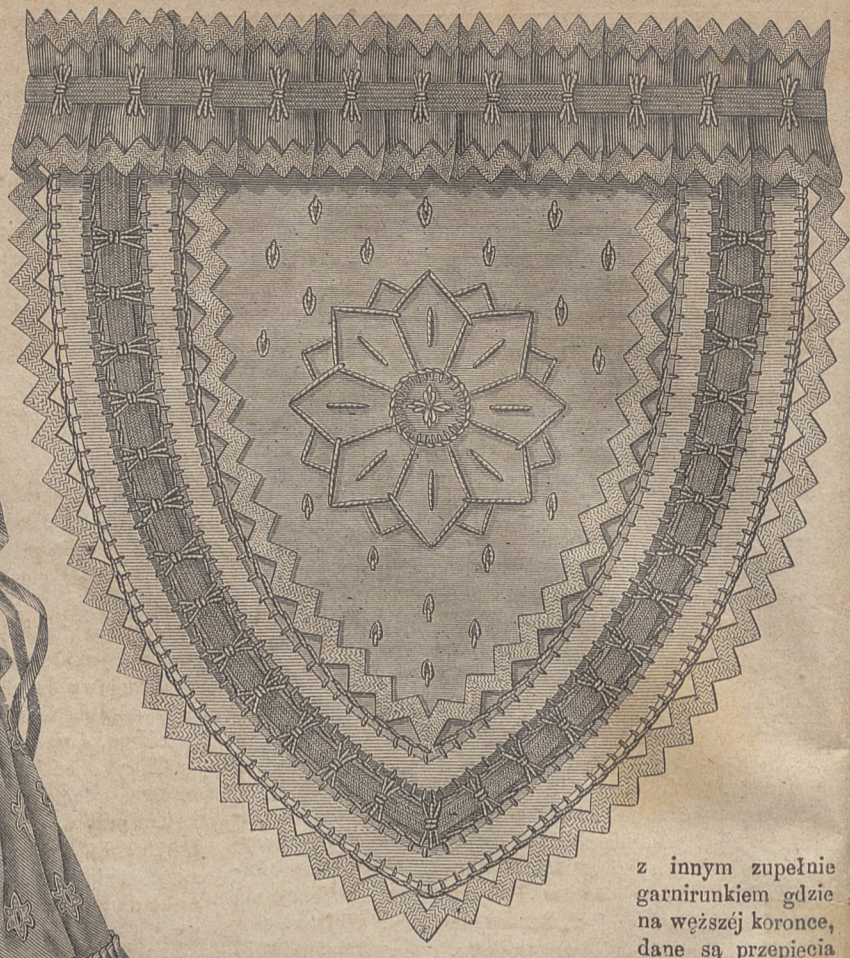
N. 11. Haft atłaskowy.



N. 10. Haft przesyty ściągami i pęczki.



N. 26. Haft. atłaskowy i pęczki.



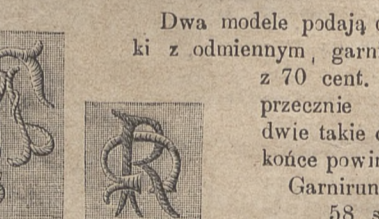
N. 6. Lambrekina wyszyta długim ścięgiem i tasiemeczką w ząbki.

Trójkąt z tiulu w muszki mający w brzegu skośnym 84 cent. w brzegach prostych po 5 cent. długości, 27 cent. środkowej wysokości, prosto jak to N. 57 wskazuje wyłożony, stanowi chusteczkę, której garnirunek składa się z koronki „bruges“ zakończonej w górze wąską haftowaną aplikacją. Jak to widać na N. 56 garnirunek powinien być naszyty i przy podwójnym wykroju szyi. Kokarda z kolorowej wstążki lub aksamitki stanowi zakończenie podłużnego wykroju.

N. 56—57. Pelerynka „Zofja“.

N. 58 — 59. Pelerynka „Elżbieta.“

N. 14. Haft atłaskowy. N. 15. Haft atłaskowy w dwóch kolorach.



N. 19. Litery połączone. Haft atłaskowy i pęczki. N. 17. Litery połączone. Haft atłaskowy przesyty ściągami

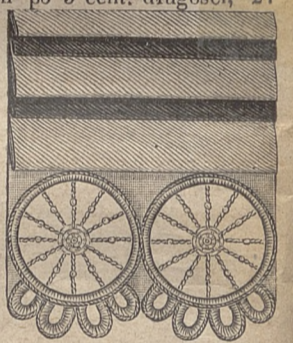


N. 23. Litery połączone. Haft atłaskowy, ścięgnureczkowy i stembenek.



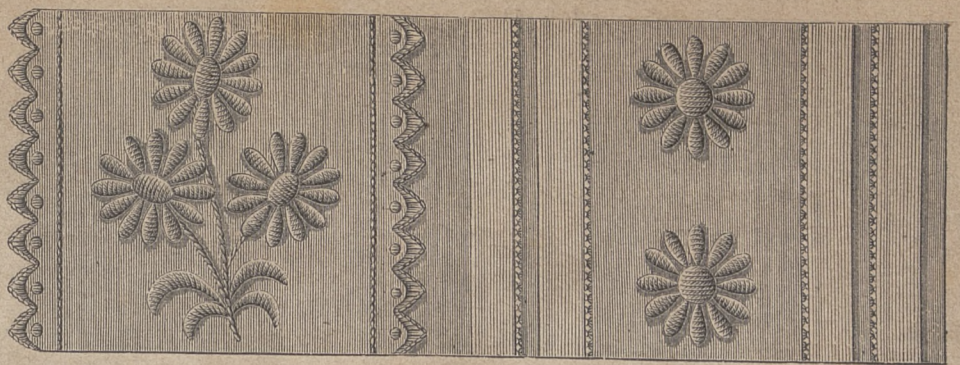
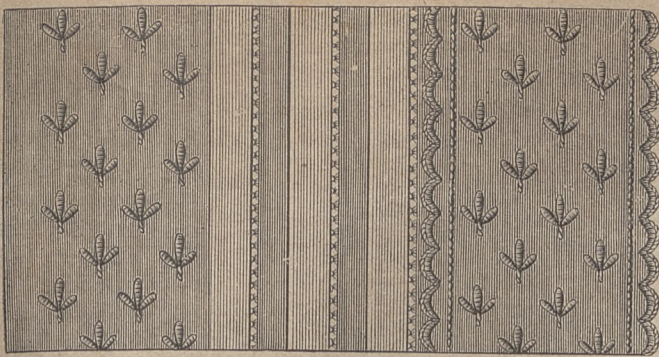
N. 24. Haft atłaskowy stembenek i luzne ścięgi poprzeczne.

z innym zupełnie garnirunkiem gdzie na węższej koronce, dane są przepięcia poprzeczne, z haftowaną wstawką.



N. 8. Ułożenie plisek do szmizetki i rękawków ryc. 7 i 8 w Tyg. Mód N. 14.

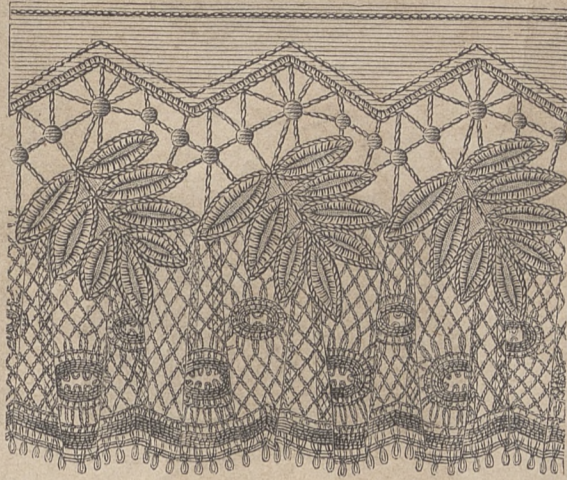
Dwa modele podają dwa układy pelerynki z odmiennym garnirunkiem. Kwadrat z 70 cent. białego muszliny poprzecznie przecięty, stanowi dwie takie chusteczki u których końce powinny być zaokrąglone. Garnirunek chusteczki pod N. 58 stanowi wolant muszlinowy, mający 18—20 cent. szerokości, z o b u



N. 27. Deseń na kaftanik do ryc. 24 w T. Mód N. 14.

N. 28. Deseń na kaftanik do ryciny 25 w Tyg. Mód N.14,

brzegów przyozdobiony haftem gipiurowym; wyższa część wolantu przeszzyta w bufę marszczoną, u której nagłówek stanowi haft, niższa puszczonej wolno. Wykrój pod szyją oszyty bufką z paska 7 cent. szerokiego i wyhaftowanego brzegiem. Rękawy marszczone w bufy, przepinane wstążką i kokardami oszyte są haftem jak to model wskazuje. Spięta broszą pelerynka pod N. 59, oszyta jest wstawką 2 cent. szeroką, otoczoną z obu brzegów wązkim koronkowym brzeżkiem; u dołu dańa 7 cent. szeroka koronka. Odpowiednie ogarniowanie koło szyi, przepięte jest trzema



N. 29. Garnirunek gipiurowy z zębami płóciennymi do szmizetki ryc. 9 i 10 w T. Mód N. 14.

ny obwód wynosi 400 cent. wtenczas, kiedy u kostiumowych dochodzi tylko 300 centymetrów. Pasek daje się w koło ściągany albo też przymarszczone bryty przednie wszywa się w rodzaj karozka, zostawiając tylne do ściągnięcia w wązkim obrębku.

N. 1. Spódnica grubym sznurem naszyta.

Spódnica kostiumowa, ma 4 cent. szerokie karbowane żelazkiem falbanki pół batystowe i naszytacie z grubego sznuru, który dodaje sztywności spódnicy.



N. 30. Garnirunek z plisowanej falbanki i haftu do kaftanika ryc. 21 i do koszuli ryc. 19 w Tyg. Mód N. 14.

klapkami o d 5—7 centym. długości, które przytwierdzają fałdy.

N. 60. Bluzka tiulowa z karoczkami.

Bluzka z czarnego koronkowego tiulu z podłużnym wykrejem pod szyją i z przyszytym do paska karoczkami, przybrana jest garnirunkiem z aksamitu i koronki czarnej 5 cent. szerokim, naszytym z tyłu w kształcie kołnierza, z przodu kwadratowo; pliski aksamitne są 2 cent. szerokie. Rękawy szerokie, przy rękę prześladowane przybrane są aksamitem i koronką.



N. 32. Deseń na wstawkę do kaftaników, penioarów i t. d. Haft atlasowy i frywolity.

Przód cokolwiek się nadmarszcza, tył ściągany na tasiemki. N. 5 i 6. Szlaczki do garniowania koszuli ryc. 18.

N. 2—4. Spódnica powłóczysta.

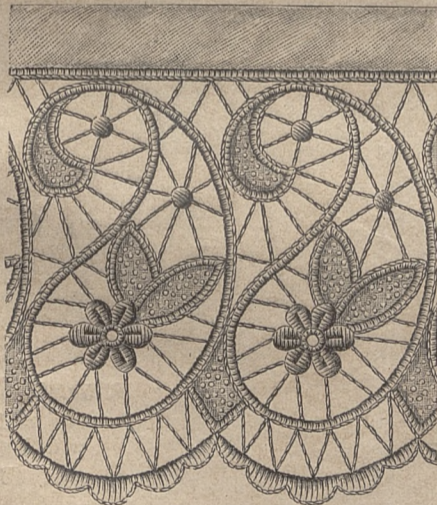
Ukośnie przyszyte falbanki, dobrze podtrzymują układ trenu przy sukni. Każda falbanka wymaga haftu lub koroneczki.

Ryc. 3 i 4 podaje odpowiednie desenyki.

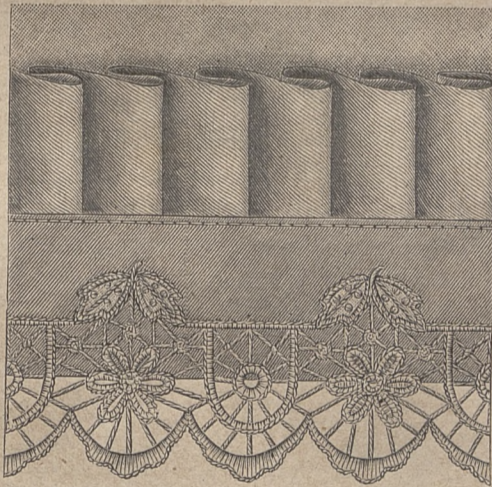
Opis do N. 14.

N. 1—6. Modne spódnice.

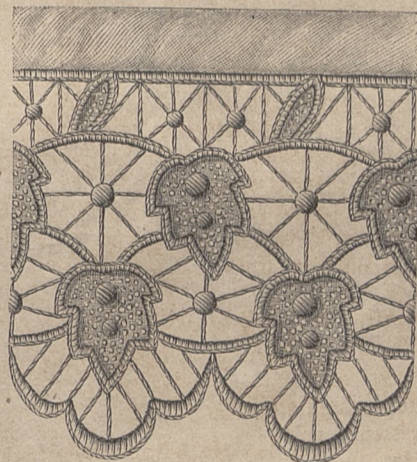
Spódnice zawsze zachowują jednolitą formę, w której przedni bryt ukośnie ścięte, tył pełnią prostą brytę w tyle, tylko przy bardzo długich trenach, szew tylny ściągany należy, żeby się tren wyraźniej rysował. Przy spódnicy powłóczystej dol-



N. 33. Deseń na haft gipiurowy do obszycia kaftaników, penioarów i sukien szarych batystowych.



N. 35. Garnirunek z falbanki, plisy i gipiury do kaftaników, penioarów i t. d.



N. 34. Deseń na haft gipiurowy do obszycia kaftaników, penioarów i sukien szarych batystowych.

N. 7 i 8. Szmizetka z rękawkami.

Na szty w niej podstawie układane 2 cent. szerokie białe pliski płócienne i kolorowe, albo z czarnego perkalu, stanowią materiał powyższego modelu. Perkal kolorowy przystaje tylko jak wypustka. Szmizetka ta składa się z dwóch części po

36 cent. długości, z tyłu 4 i pół centym: z przodów 7 cent. szerokich. W numerze 15 T. M pod ryc. 8 podamy próbkę plisek i obszycia gipiurowego, jaki w koło szmizetkę i man-



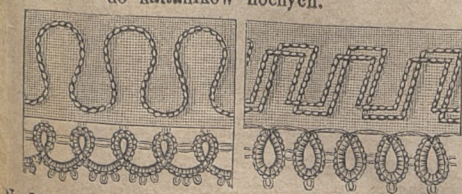
N. 36. Zęby płócienne zakończone frywolitami do kaftaników nocnych.



N. 38. Szlak z gipiury wyszywanój i białej plecionki czarno przeszytój, na penioary, spódniczki i t. d.



N. 39. Garnirunek z materiału fabrycznego w ażurową kratkę.



N. 37. Garnirunek do chusteczki na rano. Rycina 47 i 48 w T. Mód N. 14.

kiet otacza. Wążka przystem-  
bnowana listewka 3/4 cent. sze-  
roka pokrywa przyszyte szla-  
reczki.

przezroczystym stanikiem. Ka-  
da koszula kwadratowo, lub  
krągło wycięta, bez rozporka,  
przez głowę wkładana mo-  
że

N. 40. Deseń na  
kołnierzyk i  
mankiety do  
kaftanika ry-  
cina 25.



N. 42. Talma z kapturkiem.

N. 41. Deseń na  
kołnierzyk i man-  
kiety do kaftanika  
ryc. 25.



N. 9—10. Szmizetka  
z rękawami.

Krój i opis na dodatku  
N. VII Fig. 25—26.

N. 11. Pikowy nocny  
kaftanik.

Krój i opis na dodatku  
N. IV. Fig. 9—11.

N. 12. Deseń na szlaczek do majtek.  
Ryc. 49—50.



N. 45. Torebka ręczna. Haft na skórce.

N. 44. Paletot  
lekkie wpadający do  
figury.

mieć podobny napierśnik. Ry-  
cina wskazuje przyrządzenie je-  
go z batystu - w zakładki, prze-  
gradzane haftowanymi wstawkami.

N. 16. Koszula z bufką.  
Krój i opis na dodatku N. X.  
Fig. 30—32.

N. 17. Koszula damska z po-  
dłużnym karczkiem.

Krój i opis na dodatku N. II Fig. 4—6.

N. 18. Koszula damska z zębem.

Opis i krój na do-  
datku N. I. Fig.  
1—3.

N. 13—14. Ko-  
szula z karczkiem  
w kształcie paska

Krój i opis na do-  
datku N. III Fig.  
7—8.



N. 47. Torebka na jedwab, nici i guziki. (Otwarta).

N. 19 Koszula  
damska z gar-  
nunkiem plisowa-  
nym.

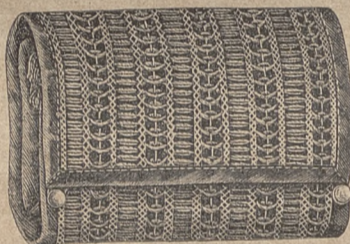
Krój i opis na do-  
datku N. XI Fig.  
33—35.



N. 50. Stanik z karczkiem dla panienki od 14 do 16  
lat. Krój w dodatku N. XV Fig. 47—50.

N. 15. Koszula z napierśnikiem,  
który się wyjmuje na stanik pokry-  
wający gorset.

Podany model koszuli nadesłany  
został jako wzór od jednej z dam a-  
merykańskich. Jest on bardzo prak-  
tyczny, a przyczepiony do paska ko-  
szuli, zakończony szlarką nadmarszco-  
ną, przypięty na guziki do staniczka  
płóciennego, słownie się wydaje pod

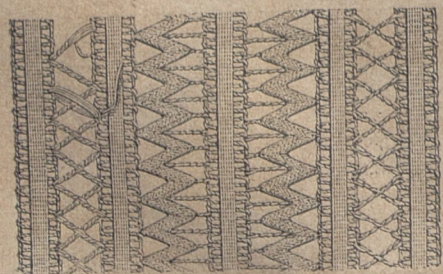


N. 46. Torebka na jedwab, nici i guziki.  
(Zamknięta).



N. 51. Stanik z karczkiem dla  
panienki od 14 do 16 lat. Krój  
w dodatku N. XV Fig.  
47—50.

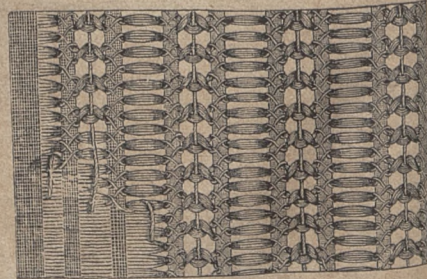
Dalszy ciąg opisu dodatku  
N. 14 nastąpi w dodatku N.  
16 Tyg. Mód.



N. 49. Wstawka z koronkowej plecionki i ząbków bia-  
łych do poszewek i t. d.



N. 52. Stanik bluzkowy do białej sukni muślinowej.  
Zobacz ryc. 2 przedstawiającą plecy.



N. 48. Wykonanie kratki ażurowej w szarym  
płótnie do torebki na nici ryc. 46.



**Dodatek do N. 14 i 15 Tygodnika M6d w Warszawie. 1871 roku.**

**Opis kroj6w.**

**Nr. I Damka koszula z podl6zonym zebem.**

Ryc. 18 w nr. 14 Tyg. M6d.  
Fig. 1 Polowa stanu na przed i tył.  
Fig. 2 Polowa rękawa.  
Fig. 3 Polowa garniturka naramiennika.  
Garniturka zab tworzący, przyszywa się podług ryc. 18, z dwóch w naturalnej wielkości podanych szarek ryc. 2-3 i przyszywa przystępowanym paszkiem, którego długi otwór wydziała. Zab podobny, dany na ramieniu, przyszywa się na gładkiem ramiączku, które podług formy wystawki wywodzi się po nad rękawem, zakończony podobną szarfą, jak wykroj szyi. Przed od gwiazdki do krętych marszczy się po obu stronach zęba, tył zaś przez całą szerokość pleców, zaczynając od gwiazdki. Szerokość w szyi, wynosi na modelu 110 cent. Długość, szerokość i dołu zastosowywa się do wymiarów koszuli przy ryc. 17 podanych.

**Nr. II Koszula damska z karczkiem w kształcie berty.**

Ryc. 17 w nr. 14 Tyg. M6d.  
Fig. 4 Polowa stanu (przed i tył).  
Fig. 5 Polowa rękawa.  
Fig. 6 Polowa karczka.

Stany obydwie tak podłozne ażeby lić od pachy 95 cent. wyznosiły, kraj się podług fig. 4; dolny obród lić na karku połowę do 102 cent. przeszra się przez wstawienie klinów, których szerokość zależy od szerokości płótna. Fig. 6 podaje formę karczki, przyszytej na marszczących pleców, dany od gwiazdki i zajmujących tylko 27 cent. Na formie tej, naznaczamy gładką linię, na przyszycie garniturki karczki. Na ryc. 31 w nr. 15 Tyg. M6d, podajemy bogato ozdobioną karczka, w naturalnej wielkości, złożoną z haftowanej wstawki i szlaczku w zęby, spadającego za kontrastowaną walansienkę. Garniturka karczki, daje się z plosowego materiału 2 1/2 cent. wysoko krajowego 1 cent. szerokości sztywnej wstawki zszepienie, pokrywa białystowy, przystępowany u-koś. Tak przystawiony karczek uściwia garniturkę haftowaną, z którego wstawki, zostawia się jako przystawki karczki do tyłu. Białystek, wymaga całego garniturki. Wykroj szyi karczki oszywa się nadmarszczoną koronczką, przytwierdzoną białystową płatką. Pod garniturką karczki, płótno trzeba wyciąć a brzojszego przytwierdzić podwrotną tasimoczką.

**Nr. III Koszula damska z haftowaną wstawką.**

Ryc. 13-14 w nr. 14 Tyg. M6d.  
Fig. 7 Polowa stanu (przed i tył).  
Fig. 8 Polowa rękawa.

Koszula skrajana, podług nr. II otrzymuje gładko obstebnowaną, prosty rękawek. Górny brzeg podług znaków, gwiazdek i krzyżyków zmarszczony, obejmujący się nawilozony z prawej strony paszkiem, który się do karczki przystępowywa. Karczek ten a więcej pasek, na ramionach i z przodu mający niły skrzyżowane krusze kwatki, oznaczony jest na formie gładką linią. Na ryc. 14 podajemy rodzaj wstawki stanowiącej pominięty pasek; nadmarszczoną koronką oddziana wykroj szyi i rękawki. Zamiast haftowanej, można dać wstawki z irlandzkiej koronki.

**Nr. IV Forma penioara, kaftanika itp.**

Ryc. 11, 45-46 i 54 w nr. 14 Tyg. M6d.  
Fig. 9 Przęd.  
Fig. 10 Polowa pleców.  
Fig. 11 Rękaw.  
Fig. 11-a Desenik na szarki do penioara.  
Do pikowych kaftaników używana gładka forma, wynosi 54 cent. długości z przodu, a z tyłu 62 cent. stojący kołnierzyk, na garniturce, dany także przy wyłożonych mankietach, i z przodu który się podszywa perkalowym paszkiem, dla lepszego obrobienia dziurki i przynocowania guzików. Garniturka daje się z płótna „czu” wydzierzonego w zęby, przystępowany dwoma rzędnami; między rzędnami można dać frywoliki jak to widać na ryc. 36 w nr. 15 Tyg. M6d. Nr. 45 w nr. 14 Tyg. M6d podaje penioara stanowiący z cienkiego materiału z przodu, z falbaną msiolinową marszczoną z nęglowikiem 8 cent. szerokość, wyhaftowaną z jednego brzoju w desenik, jak na fig. 11-a wydzierzaną na nęglowku. Przed zapinając guziki białystowe i pollice. Zamiast hafu można dać obrobek. Białystki szerokie podłozne można jak się konu podoba.

**Nr. V Miezka koszula z bufkami.**

Ryc. 51-52 w nr. 14 Tyg. M6d.  
Fig. 12 Polowa stanu (przed i tył).  
Fig. 13 Polowa karczka.  
Fig. 14 Polowa paska do szyi.  
Fig. 15 Rękaw.  
Fig. 16 Polowa kołnierza do dziennej koszuli rycina 52.

Na wszystkie koszule płócienne i perkalowe służą formy od fig. 13-15. Na fanelowe koszule, bez marszczek i rozcięcia pachy trzeba wymierzyć szerokość pleców podług rozmiarów karczki fig. 13. Miejsca naznaczone w przodu na zakładki, wypełnić można bufkami i haftowanymi paszkami, jak na ryc. 51 w dziennej koszuli, lub zrobić góra zupełnie gładki z obrębem w drobniakie zakładki na samym środku, przyczo się pod obrym przodem z białystowami bufkami płótno karczki wycina. Przy perkalowych kolorowych koszulach dają się zakłady. Ryc. 52 przedstawia koszulę nęglowką formą z tureckiego krawiatka, dla której przyszywa kołnierzyk fig. 16. Koszula perkalowa kółła ma kolorowe pasowanie przy falbanie, wystającej z pod obręba przodu, 3 cent. szer. ozdabiającej rękawy. Kołnierzyk i szeroki mankiety, ozdabia haftem w przęki. Zakłady są tylko zaprasowane. Pasek przy rękawach powinien być tak szeroki, żeby można wunwał rękę.

**Nr. VI Noony kaftanik haftowany.**

Ryc. 24-25 w nr. 14 Tyg. M6d.  
Fig. 17 Przed kaftanika.  
Fig. 18 Polowa pleców.  
Fig. 19 Wykładany kołnierzyk.  
Fig. 20 Rękaw.  
Fig. 21 Polowa mankieta.

Przed kaftanika wzakładki, ozdabia haftowany atłaskiem rękaw. Ryc. 27-28 w nr. 15 Tyg. M6d przedstawia dwa deseniki w naturalnej wielkości wraz z zakładkami. W lewym przodzie daje się 2 cent. szer. obręb na guziki; pod dziurki, dodaje się osobna listewka. Kołnierzyk i szeroki mankiety, ozdabia haftem przedstawiony w nr. 15 Tyg. M6d pod ryc. 40-41 podającymi narożniki i szlaczek. Kaftanik rycina 29 także z szerokim mankietem ozdabiają haftowane sto-krutki, podane w nr. 15 Tyg. M6d na rycina 28.

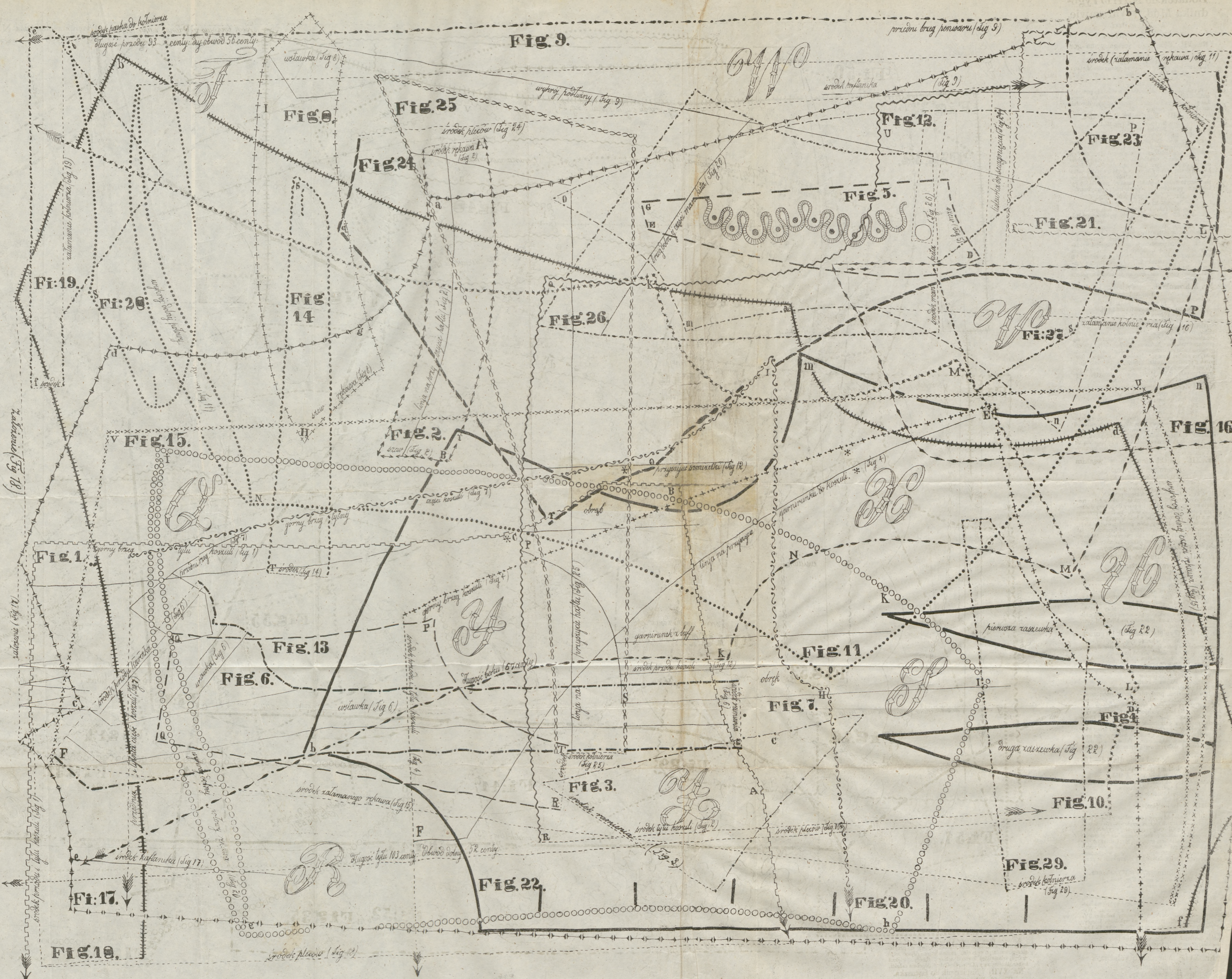


Fig. 17 Przed kaftanika.  
Fig. 18 Polowa pleców.  
Fig. 19 Wykładany kołnierzyk.  
Fig. 20 Rękaw.  
Fig. 21 Polowa mankieta.  
Przed kaftanika wzakładki, ozdabia haftowany atłaskiem rękaw. Ryc. 27-28 w nr. 15 Tyg. M6d przedstawia dwa deseniki w naturalnej wielkości wraz z zakładkami. W lewym przodzie daje się 2 cent. szer. obręb na guziki; pod dziurki, dodaje się osobna listewka. Kołnierzyk i szeroki mankiety, ozdabia haftem przedstawiony w nr. 15 Tyg. M6d pod ryc. 40-41 podającymi narożniki i szlaczek. Kaftanik rycina 29 także z szerokim mankietem ozdabiają haftowane sto-krutki, podane w nr. 15 Tyg. M6d na rycina 28.

Opis krojów. Nr. VII Staniczek ściągany na gorset.

Ryc. 20 w nr. 14 Tyg. Mód. Miara modelu w połowie: 50 cent. górny obwód stan. Fig. 22 Prząd stanika. Fig. 23 Bok. Fig. 24 Połowa płoćow. Stanik powieszony, odpowiedni pod lekkie pensyony, ozdabia brzożek trykoltowy lub koronczka. Szerokość płoćow, kładka tasienka. Proste formy, dopełnia krótki rękawek, podług fig. 44.

Nr. VIII Szmitetka i mankieta. Ryc. 9-10 w nr. 14 Tyg. Mód. Fig. 25 Połowa szmitetki. Fig. 26 Połowa mankieta.

Ryc. 29 w nr. 15 Tyg. Mód. Model w naturalnej wielkości, szerokość z falduwaną koronką i listki haftowane, które ozdabia szmitetkę ryc. 9 w nr. 14 Tyg. Mód, z plisowanego materiału przyrządzona. Ozdoby dają się do podwójnych plisowanych zbiorów, ozdabiających gęsto. Górny brzeg szmitetki, ozdabia haftowany, 1 cent. szer. brzożek. Pliska przystębnowana, przytwierdza ozdoby. Mankiet dopełniony rękawkiem, powinien być odpowiednio przyrządzony.

Nr. IX Męski kolnierz. Ryc. 28-29 w nr. 14 Tyg. Mód. Fig. 27 Połowa wykładanego kolnierza. Fig. 28 Połowa paska do wykładanego kolnierza.

Fig. 29 Połowa stojącego kolnierza. Oba kolnierze mają tylko z wierzchu cienkie płótno, spód jest perkalowy a środek z gęstego, grubego materiału. Ryc. 28 przedstawia ramy stojący i wykładany kolnierz paskiem opatrzony. Krawatka na podstawie z płoćow, składa się z dwóch kokard i 2 kółeczek, po 7 cent. szerokości. Kolnierz stojący z wstawką ryc. 29, także ma szerokość rami. Wysokość 18 cent. długiego a 7 cent. szerokości kawałka, proco się swiętuje.

Nr. X Koszula damska z bufką i wstawkami. Ryc. 16 w nr. 14 Tyg. Mód. Fig. 30 Połowa stanu (prząd i tył). Fig. 31 Połowa rękawa. Fig. 32 Połowa karczka.

Garburek powieszony kosałki stanowi batystowa bufka, dana na karczku, objęta wąską kokardą i przystębnowana haftowana batystowa wstawka co się powtarza także u rękawów. Przyszyte powyższego garburek do smarowanego podług znaków stanu, pokrywa z lewej strony, kłopotowa tasienka. Rozporek z przodu na guziki zapinany otrzymuje dwie 1/2 cent. szer. listewki; koronką ozdoby wstawka, pokrywa go cały, a doła musi być mocno zaszyty. Wykrój karczka ozdoby gładka koronczka.

Nr. XI Koszula damska z garburem. Ryc. 19 w nr. 14 Tyg. Mód. Fig. 33 Połowa stanu (prząd i tył). Fig. 34 Połowa rękawa.

Przed daniem garburek w zakładki, stanowiącego ze wstawkami okrągławy karczok, trzeba wpiąć od R-F przyszyte rękawki i dopiero ułamać całość. Stan podług, mierzony się od guzika do krawędzi, rozporek ozdabia się garburem i listewką podszycą na dziurki. Ryc. 30 w nr. 15 Tyg. Mód podają garburek wraz z koronką.

Nr. XII Majtki damskie z wązkiem i szerokim paskiem. Ryc. 49-50 w nr. 14 Tyg. Mód. Fig. 35 Połowa majtek. Fig. 37 Połowa wąskiego paska. Fig. 38 Połowa szerokiego paska.

Formy majtek ściąganych na tasienki w tył, rozdzielają szerszy w koło dany i węższy do połowy dochodzący pasek. Stosownie do woli, można je przyrządzić z tyłu, z przodu, albo z boków zapinane; forma zostaje ta sama. Rękawy obió przedstawiają majtki, zapinane w tył; paski podajemy na formach dwójki, jak również i przybranie nogawek. Jedno są objęto haftowanym paskiem i takąż falbanką—drugie mają szerokość obręby ze szlakiem haftowanym.

Nr. XIII Kaftanik ze szmitetkowym przybraniem. Ryc. 21 w nr. 14 Tyg. Mód. Fig. 39 Szmitetkowe przybranie kaftanika. Fig. 40 Bokaw. Fig. 41 Połowa mankieta.

Figury podają tylko w zakładki umyły szmitetkę, kolnierz i rękaw narzeczony do gładkiego mankieta przyszyty. Model cienki półbatystowy w zakładkach, zakończony 4 cent. szer. plisowaną falbanką z koronką, przytwierdzona plisoczką na 1/2 cent. szer. haftowanej wstawki.

Nr. XIV Wycięty staniczek na gorset. Ryc. 31-32 w nr. 14 Tyg. Mód. Miara modelu w połowie: 44 cent. górny obwód stan. 33 cent. dolny obwód stan.

Fig. 42 Prząd stanika. Fig. 43 Bok do przodu. Fig. 44 Bok do płoćow. Fig. 45 Połowa płoćow. Fig. 46 Połowa rękawa. Ryc. 31 przedstawia stanik ubrany u góry, przezroczystym materiałem, przegradzanym przystębnowanymi plisakami plisoczkami, które u góry, przytwierdzone są haftowaną wstawką z brzożkiem a u dołu brzożek z wstę. Na haft, podajemy dosyć próbek a ryc. 73-74 dają takie, jakie ubierają staniczek. Drugi stanik ryc. 32 ma garburek z szmitetką; irlandzka koronka, szmitetka przystębnowana, stanowi brzożek górny, przytwierdza ją pliska naszyta haftowanymi prochami, brzożkiem zakończona. Taką pliską, dana w złyby stanowi dolny brzożek garburek. Rękawek ubrany podobnie.

Nr. XV Stanik pod szyję dla 14-16-letniej panienki. Ryc. 50-51 w nr. 15 Tyg. Mód. Miara w połowie: 44 cent. górny obwód stanika, 30 cent. dolny obwód stanika.

Fig. 47 Prząd stanika. Fig. 48 Bok. Fig. 49 Połowa płoćow. Fig. 50 Bokaw. Stanik zupełnie pod szyję, uzupełniają kłapki przy pasku, złożone z trzech osobno przykrójanych części. Płisy z wypustką atlasową przy rypście, z rysowaną wypustką przy aksamielce; zastosowane do wybranego materiału, ładny tworzą garburek. Guziki powinny być odpowiednio. Zszywają osobno części stanika, podług liter, można zrobić stanik ze wstębnowanymi bokami, lub jak dawniej, z zaszwkami w przodku.

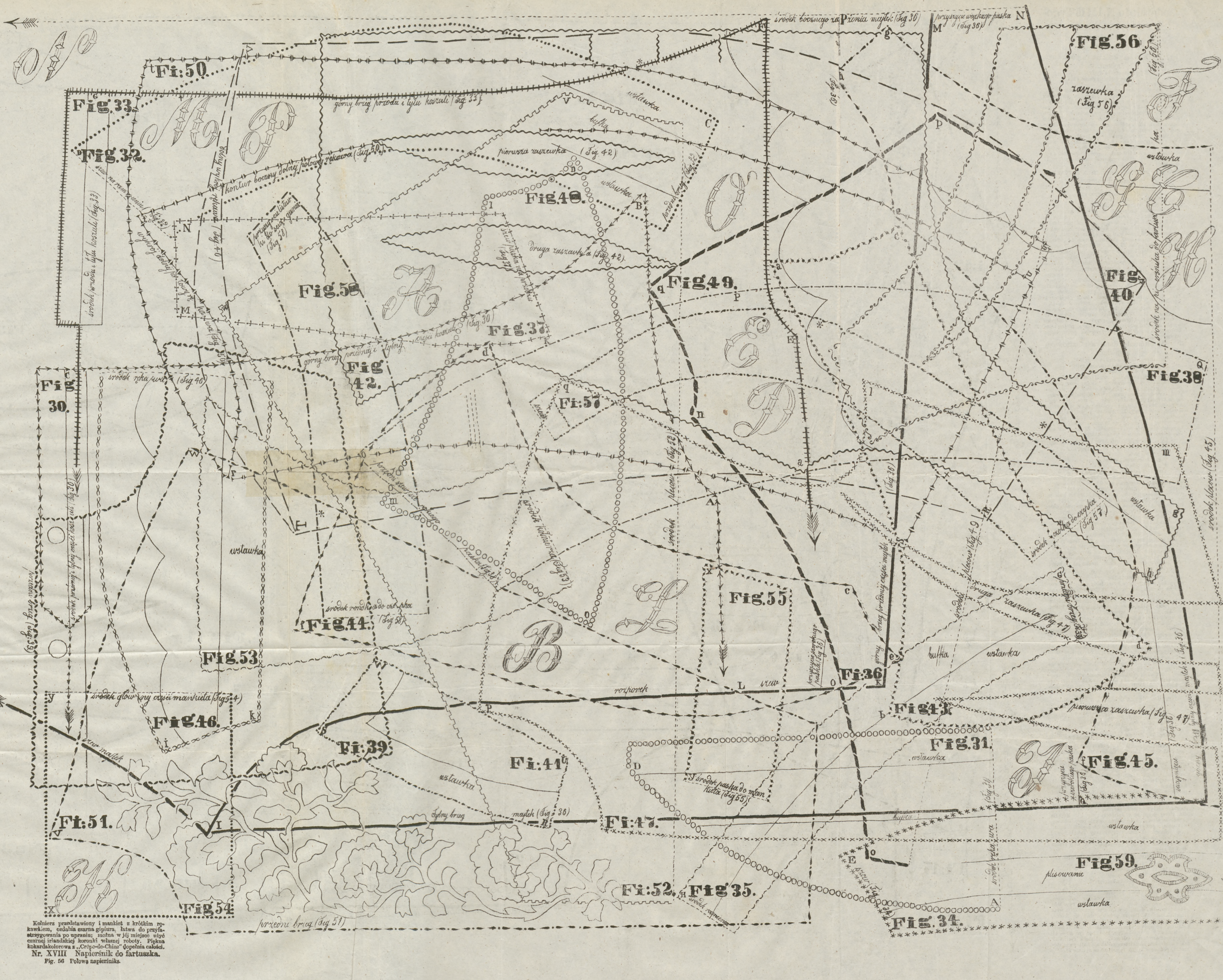
Nr. XVI Kolnierz z wykładem. Ryc. 33-35 w nr. 14 Tyg. Mód. Fig. 51 Prząd z doszkiem. Fig. 52 Połowa płoćow.

Kolnierz powieszony przytwierdza się do szmitetki, podobnie do ryc. 28, której się podługny wykrój nadało. Materiał, przystębnowany się na zakładki z przodu. Wykrój szyi obejmuje podwójny plisowany kolnierz 3 1/2 cent. z tyłu a 6 cent. z przodu na wykładania brzożek, ozdoby szlakiem, podług ryc. 7 w nr. 15 Tyg. Mód, w naturalnej wielkości. Cienne kwadraty zapina materiału kolnierz, szmitetki przytwierdzone. Mankiet, 9 cent. szer. a 2 cent. długości, blugi na guziki spiny, ma szlak odpowiedni w koło.

Nr. XVII Marynarski kolnierz z mankietem. Ryc. 26-27 w nr. 14 Tyg. Mód. Fig. 53 Połowa kolnierza. Fig. 54 Połowa mankieta. Fig. 55 Połowa rękawa.

Kolnierz przedstawiony i mankieta z krótkim rękawkiem, ozdabia szmitetka gładka. Litwa do przyrządzania po uprzedni; można w jej miejsce użyć czarnej irlandzkiej koronki własnej roboty. Pliska kokardokolorowa z „Czop-de-Chine” dopełnia całości.

Nr. XVIII Napiersznik do fartuszka. Fig. 56 Połowa napiersznika.



Kolnierz przedstawiony i mankieta z krótkim rękawkiem, ozdabia szmitetka gładka. Litwa do przyrządzania po uprzedni; można w jej miejsce użyć czarnej irlandzkiej koronki własnej roboty. Pliska kokardokolorowa z „Czop-de-Chine” dopełnia całości.

Nr. XVIII Napiersznik do fartuszka. Fig. 56 Połowa napiersznika.